

REYMONT
WŁADYSŁAW
STANISŁAW

CHŁOPI, CZĘŚĆ PIERWSZA
- JESIEŃ

Reymont Stanisław Władysław
Chłopi, Część pierwsza – Jesień

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23549602

Chłopi, Część pierwsza – Jesień:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	5
II	21
III	47
IV	81
Конец ознакомительного фрагмента.	87

Władysław Stanisław Reymont
Chłopi, Część
pierwsza – Jesień

Miriamowi
(Zenonowi Przesmyckiemu)

I

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

– Na wieki wieków, moja Agato, a dokąd to wędrujecie, co?

– We świat, do ludzi, dobrodzieju kochany – w tyli świat!...

– zakreśliła kijaszkiem łuk od wschodu do zachodu.

Ksiądz spojrział bezwiednie w tę dal i rychło przywarł¹ oczy, bo nad zachodem wisiało oślepiające słońce; a potem spytał ciszej, lękliwiej jakby...

– Wypędzili was Kłębowie, co? A może to ino niezgoda?... może...

Nie zaraz odrzekła, wyprostowała się nieco, powlekła ciężko starymi, wypełzłymi² oczami po polach ojesieniałych, pustych i po dachach wsi zanurzonej w sadach.

– I... nie wypędzali... jakżeby... dobre są ludzie – krewniaki. Niezgody też nijakiej być nie było. Samam ino zmiarkowała, że trza mi w świat. Z cudzego woza to złaż choć i w pół morza.

Trza było... roboty już la mnie nie miały... na zimę idzie, to jakże – darmo mi to dadzą warzę³ abo i ten kąć do spania?...

A że rychtyk⁴ i ciołka odsadzili od maci... a i gąski, bo to już zimne nocki, trza zagnać pod strzechę, tom i zrobiła miejsce...

¹ przywrzeć – przymknąć. [przypis edytorski]

² wypełzły – wyblakły. [przypis edytorski]

³ warza – gotowany posiłek; por. warzyć: gotować. [przypis edytorski]

⁴ rychtyk – akurat, właśnie. [przypis edytorski]

jakże, bydłatek szkoda, Boże stworzenie też... A ludzie dobre, bo mię choć latem przytulą, kąta ani tej łyżki strawy nie żałują, że se człowiek kiej jaka gospodyni paraduje...

A na zimę we świat, po proszonym.

Niewiela mi potrza, to se u dobrych ludzi uproszę i do zwiesny⁵ z Panajezusową łaską przechyrlam, a jeszcze się coś niecoś grosza uścibi – to rychtyk la nich na przednowek⁶... krewniaki przeciech...

A już ta Jezusiczek przenajsłodszy biedoty opuścić nie opuści.

– Nie opuści, nie – zawołał gorąco i wstydliwie wsadził jej w garść złotówkę.

– Dobrodzieju nasz serdeczny, dobrodzieju!

Przypadła mu do kolan roztrzęsioną głową, a łyzy jak groch posypały się po jej twarzy szarej i zradlonej⁷ jak te jesienne podorówki⁸.

– Idźcie z Bogiem, idźcie – szeptał zakłopotany podnosząc ją z ziemi.

Zebrała drżącymi rękami torby i kijaszek z jeżem⁹ na końcu,

⁵ *zwiesna* – wiosna. [przypis edytorski]

⁶ *przednowek* – dawniej najtrudniejszy do przetrwania na wsi okres, po zimie (w czasie której ludzie żywili się zapasami zebranymi jesienią), a przed nowymi zbiorami. [przypis edytorski]

⁷ *zradlony* – poorany, naznaczony bruzdami (jak pocięta radłem ziemia). [przypis edytorski]

⁸ *podorówka* – pole płytko zaorane po jesiennych zbiorach i w ten sposób przygotowane do wiosennej orki. [przypis edytorski]

⁹ *kijaszek z jeżem* – dawnym zwyczajem wędrowni żebracy nabijali na koniec kostura,

przeżegnała się i poszła szeroką, wyboistą drogą ku lasom; raz wraz tylko odwracała się ku wsi, ku polom, na których kopano kartofle, i na te dymy pastusich ognisk, co się snuły nisko nad ścierniskami – poglądała żałośnie, aż i zniknęła za przydrożnymi krzami.

A ksiądz usiadł z powrotem na kółkach od pługa, zażył tabaki i rozłożył brewiarz¹⁰, ale oczy ześlizgiwały mu się z czerwonych liter i leciały po ogromnych, w jesiennej zadumie pogrążonych ziemiach, to po bladym niebie błądziły lub zatrzymywały się na parobku, pochylonym nad pługiem.

– Walek... bruzda krzywa... te... – zawołał unosząc się nieco i chodził już oczami krok za krokiem za parą tłustych siwków, ciągnących pług ze skrzypem.

Zaczął znowu bezwiednie przebiegać czerwone litery brewiarza i poruszać ustami, ale co chwila gonił oczami siwki, to stadko wron, które ostrożnie, z wyciągniętymi dziobami podskakiwały w bruzdzie i raz wraz, za każdym świstem bata, za każdym nawrotem pługa, podrywały się ciężko, padały zaraz na zorane zagony i ostrzyły dzioby o twarde, zeszcpane skiby.

– Walek! a śmignij no prawą po portkach, bo zostaje!

Uśmiechnął się, bo jakoż po bacie prawa już równo ciągnęła,

którym się podpierali, skórkę jeża, która służyła im do obrony przed napastliwymi psami. [przypis edytorski]

¹⁰ *brewiarz* – zbiór modlitw przeznaczonych do liturgii godzin (znanej zarówno kościołowi rzymskokatolickiemu, jak grekokatolickiemu i mającej swój odpowiednik w różnych kościołach protestanckich); duchowni katolicycy są zobowiązani do codziennego odmawiania całego brewiarza. [przypis edytorski]

a gdy konie doszły do drogi, uniósł się żywo, poklepał je przyjaźnie po karkach, aż wyciągały do niego nozdrza i przyjacielsko obwąchiwały twarz.

– Heeet–aa! – wołał śpiewnie Walek, wyciągnął błyszczący jakby ze srebra pług, uniósł go lekko, pociągnął konie lejcami, że zatoczyły krótki łuk, wraził krój błyszczący w rżysko, śmignął batem, konie pociąły z miejsca, aż zgrzytnęły orczyki – i orał dalej wielki łan ziemi, co pod prostym kątem spadał od drogi po pochyłości i niby długi wątek zgrzebnych skib rozciągał się aż ku wsi, leżącej nisko i jakby zatopionej w czerwonych i żółtawych sadach.

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej – wisało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeschłe twarde skiby kładły za się cienie mocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu, przymglonym kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękitcie leżały gdzieniegdzie bezładnie porzrzucone ogromne białe chmury niby zwały śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod nimi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów – misa, przez którą, jak srebrne przedziwo rozblęskło w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łozin nadbrzeżnych. Wzbierała w

pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu, leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów – niby czerwono–żółta liszka, zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splecione nieco przedziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin – tylko gdzieniegdzie w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota – łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to białe omdlałe, wyschłe łożyska strumieni albo leżały piaszczyste senne drogi i nad nimi rzędy potężnych topoli z wolna wspinały się na wzgórze i pochylały ku lasom.

Ksiądz ocknął się z zapatrzenia, bo długi, żaloszny ryk rozległ się gdzieś niedaleko, aż wrony poderwały się z krzykiem i skośnym rzutem leciały na kopaniska – a czarny migocący cień biegł za nimi dołem po rżyskach i podorówkach.

Przysłonił ręką oczy i patrzył pod słońce – drogą od lasów szła jakaś dziewczyna i ciągnęła za sobą na postronku dużą, czerwoną krowę; gdy przechodziła obok, pochwaliła Boga i chciała skrócić, aby ksiądz pocałować w rękę, ale krowa szarpnęła ją w bok i znowu ryczeć zaczęła.

– Na sprzedanie prowadzisz, co?

– Ni... ino do młynarzowego bysia... a stójże, zapowietrzona... Wściekłaś się czy co! – wołała zadyszana, usiłując powstrzymać, ale krowa ją pociągnęła, że już obie gnały w dyrdy, aż kurz je zakrył obłokiem.

A potem włókł się ciężko po piaszczystej drodze Żyd

szmaciarz¹¹, pchał przed sobą taczki dobrze naładowane, bo raz wraz przysiadł i ciężko dyszał.

– Co tam słyhać, Moszku?

– Co słyhać?... Komu dobrze, to i dobrze słyhać... Kartofle chwala Bogu obrodziły, żyto sypie, kapusta będzie. Kto ma kartofle, kto ma żyto, kto ma kapustę – temu dobrze słyhać! – Pocałował księdza w rękaw, założył na kark pas od taczek i pchał dalej, lżej już, bo zaczynał się spadek łagodny.

A potem szedł środkiem drogi w kurzawie, bo zamiatał nogami, ślepy dziad prowadzony przez tłustego kundla na sznurku.

A potem leciał od lasu chłopak z butelką, ale ten ujrawszy księdza przy drodze okrążył go z dala i biegł na przelaj pól do karczmy.

To znowu chłop z sąsiedniej wsi wioził zboże do młyna albo Żydówka pędziła stado kupionych gęsi.

A każdy pochwalił Boga, zamienił słów parę i szedł w swoją drogę, odprowadzany życzliwym słowem i spojrzeniem księdza, któren, że już słońce było coraz niżej, powstał i krzyknął do Walka:

– Doórz do brzózek i do domu... na nic się konie zmachają.

I poszedł wolno miedzami, odmawiał półgłosem modlitwy i jasnym, pełnym kochania spojrzeniem ogarniał pola...

...Rzędy kobiet czerwieniły się na kopaniskach... rozlegał

¹¹ *szmaciarz* – czyli zajmujący się zbieraniem zniszczonych materiałów do recyklingu. [przypis edytorski]

się grochot zsypywanych do wozów kartofli... miejscami orano jeszcze pod siew... stada krów srokatej pasły się na ugorach... długie, popielate zagony rdzawiły się młodą szczotką zbóż wschodzących... to gęsi niby płaty śniegów bielity się na wytartych, zrudziałych łąkach... krowa gdzieś zaryczała... ogniska się paliły i długie, niebieskie warkocze dymów ciągnęły się nad zagonami... Wóz zaturkotał albo pług zgrzytnął o kamienie... to cisza znowu obejmowała ziemię na chwilę, że słyhać było głuchy bełkot rzeki i turkot młyna, schowanego za wsią, w zbitym gąszczu drzew pożółkłych... to znowu śpiewka się zerwała lub krzyk nie wiadomo skąd powstały leciał nisko, tłukł się po brzdach i dołach i tonął bez echa w jesiennej szarości, na ścierniskach oprzędzonych srebrnymi pajęczynami, w pustych sennych drogach, nad którymi pochylały się jarzębiny o krwawych, ciężkich głowach... to włączono role i tuman szarego, przesłonecznionego kurzu podnosił się za bronami, wydłużał i pełzał aż na wzgórze i opadał, a spod niego niby z obłoku wychylał się bosy chłop, z gołą głową, przewiązany płachtą – szedł wolno, nabierał ziarna z płachty i siał ruchem monotonnym, nabożnym i błogosławiącym ziemi, dochodził do końca zagonów, nabierał z worka zboża, nawracał i z wolna podchodził pod wzgórze, że najpierw głowa rozczochrana, potem ramiona, a w końcu już był cały widny na tle słońca z tym samym błogosławiącym ruchem siejby; z tym samym świętym rzutem rozrzucał zboże, co jak złoty pył kolistym wirem padało na ziemię.

Ksiądz szedł coraz wolniej, czasem przystawał, aby odetchnąć, to znowu obejrzał się na swoje siwki, to przyglądał się chłopakom, obtlukującym kamieniami ogromną gruszę, aż hurmem przybiegli do niego i chowając ręce za siebie całowali w rękaw sutanny.

Pogładził ich po głowach i rzekł upominająco:

– Nie łamcie ino gałęzi, bo na bezrok¹² gruszek mieć nie będziecie.

– My nie rzucalim na gruszki, ino że tam jest gapie gniazdo¹³
– ozwał się śmielszy.

Ksiądz się uśmiechnął dobrotliwie i zaraz znowu przystanął przy kopaczach.

– Szczęść Boże w robocie!

– Boże zapłać, dziękujemy! – odpowiedzieli razem, prostując się, i ruszyli wszyscy do ucałowania rąk dobrodzieja kochanego.

– Pan Bóg dał latoś urodzaj na kartofle, co? – mówił, wyciągając otwartą tabakierkę do mężczyzn – brali sumiennie i z szacunkiem w szczypty, nie śmiejąc przy nim zażywać.

– Juści, kartofle kiej kocie łby i dużo pod krzami.

– Ha, to świnię zdrożają, bo jaki taki chciał będzie wsadzać do karmika.

– Już i tak drogie; na zarazę latem wyginęły, a i do Prus kupują.

– Prawda, prawda. A czyje to ziemniaki kopiecie?

¹² *na bezrok* – w przyszłym roku. [przypis edytorski]

¹³ *gapie gniazdo* – gniazdo wron (zwanych też gapami). [przypis edytorski]

– A Borynowe.

– Gospodarza nie widzę, tom i rozeznać nie rozeznał.

– Ociec pojechali z moim ano do boru.

– A to wy, Anna, jakże się macie? – zwrócił się do młodej, przystojnej kobiety w czerwonej chustce na głowie, która, że ręce miała uwalane ziemią, przez zapaskę ujęła jego rękę i pocałowała.

– Jakże się ma ten wasz chłopak, com go to we żniwa chrzcił?

– Bóg zapłać dobrodziejowi, zdrów się chowa i coś niecoś bałykuje¹⁴.

– No, zostańcie z Bogiem.

– Panu Bogu oddajem.

I ksiądz skręcił na prawo, ku cmentarzowi, który leżał z tej strony wsi, przy topolami wysadzonej drodze.

Długo za nim spoglądali w milczeniu, na jego smukłą, pochyloną nieco postać, dopiero gdy przeszedł niskie, kamienne ogrodzenie cmentarza i szedł między mogiłami ku kaplicy, co stała wpośród pożółkłych brzoź i klonów czerwonych, rozwiązały się im języki.

– Lepszego to i na całym świecie nie znaleźć – zaczęła któraś z kobiet.

– Juści, chciały go też zabrać do miasta... żeby ociec z wójtem nie jeździli prosić biskupa, to byśwa go i nie mieli... Kopta no, ludzie, kopta, bo do wieczora mało daleko, a ziemniaków mało

¹⁴ *bałykować* – raczkować. [przypis edytorski]

wiele¹⁵! – mówiła Anna wysypując swój kosz na kupę żółcą się na rozkopanej ziemi, pełnej zeschniętych łęcin.

Wzięli się chyżo za robotę i w cichości, że ino słyhać było dziabanie motyczek o twardą ziemię, a czasem suchy dźwięk żelaza o kamień. Czasami ktoś niektoś wyprostował zgięty i zbolaty grzbiet, odetchnął głęboko, popatrzył bezmyślnie na siejącego przed nimi i znowu kopał, wybierał z szarej ziemi żółte ziemniaki i rzucał do kosza przed się stojącego.

Ludzi było kilkanaścioro, przeważnie starych kobiet i komorników, a za nimi bieleły się dwa krzyżaki, u których w płachtach leżały dzieci raz wraz popłakując.

– A tak i stara poszła we świat – zaczęła Jagustynka.

– Kto? – spytała Anna podnosząc się.

– A stara Agata.

– Na żebry...

– Juści, że na żebry! Hale! nie na słodkości, ino na żebry.

Obrobiła krewniaków, wysłużyła się im bez lato, to już ją puścili na wolny dech.

– Wróci na zwiesnę, to im naznosi w torebeczkach, a to i cukru, a to i harbaty, a to i grosza coś niecoś; zaraz ją będą miłowały, każą spać w łóżku, pod pierzyną, robić nie dadzą, coby se wypoczena... A wujna, a ciotka jej mówią, póki tego ostatniego szelążka od niej nie wyciągną... A jesienią to już la niej miejsca nie ma w sieni ani we chliwie. Ścierwy, psie krewniaki i zapowietrzone – wybuchała Jagustynka i taki gniew

¹⁵ *mało wiele* – niewiele, niezbyt wiele. [przypis edytorski]

ją przejął, że stara jej twarz posiniała.

– Biednemu to zawsze na ten przykład wiatr w oczy – dorzucił jeden z komorników, stary, wynędzniały chłop z krzywą gębą.

– Kopta no, ludzie, kopta – popędzała Anna nierada tokowi rozmowy.

Jagustynka, że to długo nie mogła bez gadania, to spojrzała na siejącego i rzekła:

– Te Paczesie to stare chłopy, że jaże im już kłaki na łbach puszczają...

– Ale kawalery zawdy – rzekła insza kobieta.

– A tyle dziewuch się starzeje albo i służby szukać idzie...

– Przeciech, a one mają cały półwłóczek i jeszcze łączkę za młynem.

– Juści, abo to im matka da się żenić... abo to im popuści...

– A kto by krowy doił, kto by opierał, kto by kole gospodarstwa abo i śwyni chodził...

– Obrządzają se matulę i Jagusię, bo jakże, Jagna kiej pani jaka, kiej i druga dziedziczka, ino się stroi... a myje, a w lusterku przegląda, a warkocze zaplata.

– I patrzy ino, kogo by puścić pod pierzynę, któren aby mocny! – dorzuciła znowu ze złym uśmiechem Jagustynka.

– Józek Banachów posyłał z wódką – nie chciała.

– Cie... dziedziczka zapowietrzona.

– A stara ino w kościele siaduje, a na książce się modli, a na odpusty chodzi!

– Prawda, ale czarownica to też jest; a Wawrzonowym

krowom to chto mleko odebrał, co? A jak na Jadamowego chłopaka, co jej śliwki w sadku obrywał, jakieś złe słowo powiedziała, to mu się zaraz taki kołtun zbił i tak go pokręciło, Jezus!

– I ma tu błogosławieństwo Boże być nad narodem, kiej takie we wsi siedzą...

– A drzewiej, kiej jeszcze krowy pasalam tatusiowe, to baczę, że takie ze wsi wyganiaли – dodała znowu Jagustynka.

– Tym się krzywda nie stanie, bo ma ją kto strzec... – i zniżając głos do szeptu, a patrząc z ukosa na Annę, co kopała na przedzie pierwszą z kraja redlinę, szeptała Jagustynka sąsiadkom:

– A pono pierwszy do obrony to ano chłop Hanki... cieka się on za Jagną kiej ten pies...

– Laboga... moiściewy... cudeńka prawicie... Hale! to by już grzech i obraza boska była... – szeptały do siebie kopiąc i nie podnosząc głów.

– A bo to on jeden... a to jak za suką, tak chłopaki za nią ganiają.

– A bo też urodę ma, to ma; wypasiona kiej jałowica, biała na gębie, a ślepie to ma rychtyk¹⁶ jak te lnowe kwiatki... a mocna, że i niejeden chłop jej nie uradzi...

– A bo to co robi, ino żre a wysypia się, to nie ma urodna być...

Milczały długą chwilę, bo trzeba było kartofle wysypywać na

¹⁶ *rychtyk* – akurat, właśnie, dokładnie. [przypis edytorski]

kupe.

A potem już z rzadka pogadywały to o tym, to o owym, aż i zamilkły, bo któraś dojrzała, że od wsi rżyskiem bieży Józka Borynianka.

Jakoż i ta nadbiegała zziajana i już z daleka krzyczała:

– Hanka, a chodźcie ino do chałupy, bo krowie się cosik stało.

– Jezus Maria, a której?...

– A to ci graniastej... a to ci... tchu złapać nie mogę...

– Loboga, aże mnie zatknęło, myślałam, że mojej... – zawołała z ulgą Anna.

– Witek ją co dopiero przygnał, bo gajowy ich wypędził z zagajów. Krowa się zlachalała, bo taka śpaśna... i zaraz przed oborą upadła... i ani pić nie pije, ani żreć nie żre, ino się tarza, a ryczy, że loboga!

– Ojca to nie ma?

– Ni, tatulo jeszcze nie przyjechali. O Jezus, mój Jezus, taka krowa, co na raz dobrze i garniec mleka dawała. A chodźciez rychło.

– Duchem ci lecę, w to oczymgnienie.

Jakoż i wyjęła dziecko z płachty, nadziała mu czapczkę z kutasikami¹⁷, okręciła zapaską i poszła żywo, a taka była strwożona wieścią, że nawet nie opuściła wełniaka, zapomniała do cna, aż jej odsłonięte do kolan nogi bieliły się po roli. Józka biegła przodem.

¹⁷ *kutasik* (daw., gw.) – frędzel, pompon; element dekoracyjny stroju wykonany ze związanego w pędzel pęczka nici. [przypis edytorski]

A kopacze, każdy okrakiem nad swoją redliną, posuwali się z wolna, kopiąc leniwiej, jako że nikt nie pilił i nie poganiał.

Słońce już się przetaczało na zachód i jakby rozżarzone biegiem szalonym czerwieniło się kołem ogromnym i zsuwało za czarne, wysokie lasy. Mrok gęstniał i pełzał już po polach; sunął brzdami, czał się po rowach, wzbierał w gąszczach i z wolna rozlewał się po ziemi, przygaszał, ogarniał i tłumił barwy, że tylko czuby drzew, wieże i dachy kościoła gorzały płomieniami.

A niektórzy ściągali już z pól do domów.

Głosy ludzkie, rżenia, porykiwania, turkoty wozów coraz ostrzej brzmiały w cichym, omroczonym powietrzu.

Sygnaturka na kościele zaczęła dzwonić Anioł Pański spizowym świegotem, że ludzie przystawali i szept pacierzów, niby szemranie opadających listków, padał w mroki.

Ze śpiewami a pokrzykami wesołymi spędzano bydło z pastwisk, co ciżbą szło drogami w tumanach kurzawy, że tylko raz wraz wychylały się z niej głowy potężne i rogi krzaczaste.

Owce pobekiwały tu i owdzie, to gęsi zerwały się z pastwisk i stadami leciały, całe w zorzach zachodu zatopione, że tylko krzyk przenikliwy znaczył je w powietrzu.

– Ale szkoda, ta graniasta to sielna¹⁸ krowa.

– I... nie na biedaka trafiło.

– A tak i bydlątka żal, co się zmarnuje.

– Gospodyni Boryna nie ma, to wszystko leci kiej przez sito.

– A bo to Hanka nie gospodyni?

¹⁸ *sielna* – silna, potężna, wielka, dorodna. [przypis edytorski]

– La siebie... jakby na komornym u ojca siedzą, to juści patrzą, aby ino na swoją stronę coś niecoś urwać, a ojcowego niechta pies pilnuje.

– A Józka, że to jeszcze skrzat głupi, to i cóż poradzi?

– Hale, albo to Boryna nie mógłby gront oddać Antkowi, co?

– A sam pójdzie do nich na wycug, co?... Starzyście, Wawrzku, a do cna jeszcze głupi – zaczęła żywo Jagustynka. – Ho, ho, Boryna jeszcze krzepki, może się ożenić, a głupi by był, żeby dzieciom zapisywał.

– Hale, krzepki to juści, że jest, ale już ma ze sześćdziesiąt років.

– Nie bój się, Wawrzku, każda młódka pójdzie za niego, niechby tylko rzekł.

– Już dwie żony pochował.

– Niech se pochowa i trzecią, Panie Boże mu pomóż, a niech dzieciom, póki żyw, nie daje ni staja, ni liszki jednej, ni tyle, co trepem przydepnie. Ścierwy, wyrzutowałyby go, kiej moje mnie. Dałyby mu wycugi, że na wyrobek by chodził, z głodu by zdychał abo i na żebry, po proszonym szedł. Oddaj ino, co masz, dzieciom – to ci oddadzą; rychtyk ci tego starczy na sznureczek abo i na ten kamień do szyi...

– Ludzie, a to czas do domu, mroczeje.

– Czas, czas! Słońce już zaszło.

Pozbierali prędko motyczki, koszyki, to dwojaki od obiadów i szli wolno gęsiego miedzą, pogadując coś niecoś, a tylko stara Jagustynka wykrzykiwała wciąż namiętnie na dzieci własne, a

potem już i na wszystkich pomstowała.

A równo z nimi jakaś dziewczyna gnała maciorę z prosiętami i śpiewała cienkim głosem:

Aj, nie chodź kiele woza,
Aj, nie trzymaj się osi,
Aj, nie daj chłopu gęby,
Aj, choć cię pięknie prosi.

– Cie, głupia, wrzeszczy, kiejbym ją kto ze skóry obdzierał.

II

Na borynowym podwórku obstawionym z trzech stron budowlami gospodarskimi, a z czwartej sadem, który go oddzielał od drogi, już się zebrało dość narodu; kilka kobiet radziło i wydziwiała nad ogromną czerwono–białą krową, leżącą przed oborą na kupie nawozu.

Stary pies, kulawy nieco i z oblażą na bokach sierścią, oganiał graniastą, obwąchiwał ją, szczekał, to wypadał w opłotki i gnał dzieci na drogę, co się były wieszaly na płotach i zazierały ciekawie w obejście, albo docierał do maciory, co legła pod chałupą i rozwalona jęczała cicho, bo ssały ją białe, młode prosięta.

Hanka nadbiegła właśnie zziajana, przypadła do krowy i jęła ją głaskać po gębuli i łbie.

– Granula, biedoto, granula! – wołała łzawo, aż buchnęła płaczem i lamentem serdecznym.

A kobiety radziły raz wraz nowe ratowanie chorej; to sól rozpuszczoną wlewali jej w gardło, to topiony z poświęcanej gromnicy воск z mlekiem; radził ktosik mydła z serwatką – insza znowu wołała, żeby krew puścić – ale krowie nic nie pomagało, wyciągała się coraz dłużej, niekiedy podnosiła łeb i porykiwała długo, jakby o ratunek, boleśnie, aż jej piękne oczy o białkach różowych mętniały mgłą i ciężki, rogaty łeb opadał z wysilenia, że ino wysuwała ozór i polizywała ręce Hanki.

– A może by Ambroży co poradził? – zaproponowała któraś.

– Prawda, na chorobach on jest znający – zawtórowali.

– Bieżyj no, Józia! Na Anioł Pański dzwoniłi, to musi jeszcze być przy kościele. Laboga, a jak ociec nadjadą, będzie to pomstowanie, będzie. – A przeciech my niczego niewinowate! – narzekała płacząco.

A potem siadła na progu obory, wsadziła chłopakowi w usta, bo popłakiwał, białą pełną pierś i z trwogą niezmierną spoglądała na krowę rzeżącą, to przez opłotki na drogę i nasłuchiwała.

W pacierz abo i dwa wpadła Józia z krzykiem, że Jambroży już idą.

Jakoż i przyszedł zaraz dziad może stuletni, prosty jak świeca, choć o nodze drewnianej i o kiju; twarz miał suchą, pomarszczoną jak kartofel na zwieszę i szarą takóž, wygoloną i pociętą szramami, włosy białe jak mleko kosmykami opadały mu na czoło i kark, bo był z gołą głową.

Poszedł prosto do krowy i dokumentnie ją obejrzał.

– Oho, widzę, że świeże mięso jedli będzieta.

– A dyć jej pomóżcie co, wylekujcie¹⁹, a toć krowa ze trzysta złotych warta – i dopiero po cielęciu, a dyć pomóżcie! O mój Jezu, mój Jezu! – zawołała Józia.

Ambroży wyjął z kieszeni puszczađło, powecował²⁰ je po cholewie, przyjrzał się pod zorzę ostrzu i przeciął granuli arterie pod brzuchem – ale krew nie trysnęła, a ciekła wolno czarna,

¹⁹ wylekujcie – wyleczcie. [przypis edytorski]

²⁰ powecować (z niem. *wetzen*) – ostrzyć. [przypis edytorski]

spieniona.

Stali wszyscy dokoła pochyleni i patrzyli bez oddechu.

– Za późno! Oho, bydłatko ostatnią parę puszcza – rzekł uroczyście Ambroży. – Nic to, ino paskudnik albo i co innego... trza było zaraz, kiej zachorzała... ale te baby to ino juchy do płakania są mądre, a jak trza radzić, to w bek kiej owce. – Splunął pogardliwie, obszedł krowę, zajrzał jej w oczy, przyjrzał się ozorowi, obtarł zakrwawione ręce o jej miękką, lśniącą skórę i zabierał się do odejścia.

– Na ten pochówek dzwonił nie będę; zadzwonita w garki sami.

– Ociec z Antkiem! – krzyknęła Józka i wybiegła na drogę naprzeciw, bo głuchy, ciężki turkot rozległ się z drugiej strony stawu, gdzie w rozczzerwienionej zorzami zachodu kurzawie czerniał długi wóz i konie.

– Tatulu, a to... graniasta już zdycha – wołała, dobiegając do ojca, który skręcał właśnie na tę stronę stawu. Antek szedł w końcu i podtrzymywał, bo wieźli długą sosnę.

– Nie pleć byle czego po próznicy – mruknął podcinając konie.

– Jambroży puszcza krew i nic... i wosk topiony lali jej w gardziel i nic... i sól... i nic... pewnie paskudnik... Witek pedał, co borowy wygnał ich z zagajów i co granula zara się pokładała i stękała, jaże ją i przygnał...

– Graniasta, najlepsza krowa, ażeby was, ścierwy, pokreć, kiej tak pilnujecie! – rzucił lejce synowi i z batem w garści

pobiegł przodem.

Baby się rozstały, a Witek, który cały czas coś najspokojniej majstrował pod chałupą, skoczył w ogród i przepadł ze strachu, nawet Hanka podniosła się na progu i stała bezradna, strwożona.

– Zmarnowali mi bydlę!... – wykrzyknął wreszcie stary, obejrzawszy krowę.

– Trzysta złotych jak w błoto! Do miski to ścierwów aż gęsto, a przypilnować nie ma kto. Taka krowa, taka krowa! A to człowiek ruszyć się z domu nie może, bo zaraz szkoda i upadek...

– Dyć ja od południa samego byłam przy kopaniu – tłumaczyła się cicho Hanka.

– A bo ty co kiej widzisz! – krzyknął z wściekłością. – A bo ty stoisz o moje!... Taka krowa, taki haman, że i drugiej nie w każdym dworze by znalazł!

Wyrzekał coraz żałośniej i obchodził ją, próbował podnieść, ciągał za ogon, zaglądał w zęby, ale krowa dyszała chrapliwie i coraz ciężej, krew przestała płynąć, tylko krzepła w czarne, spieczone żużle – wyraźnie już zdychała.

– Nie ma co, ino ją trza dorznać, choć tyla się wróci! – rzekł w końcu, przyniósł kosę ze stodoły, poostrzył ją nieco na taczalniku, co stał pod okapem obory, rozdział się ze spencerka²¹, zawinął rękawy koszuli i zabrał się do zarzynania...

Hanka z Józią buchnęły płaczem, bo granula, jakby czując śmierć, uniosła z trudem łeb, zaryczała głucho i... padła z przerżniętym gardłem, grzebiąc ino nogami...

²¹ *spencerek* – kurtka z kołnierzem i kieszeniami. [przypis edytorski]

Pies zlizywał krzepnącą na powietrzu krew, a potem skoczył na doły od kartofli i szczekał na konie stojące z wozem w opłotkach, bo tam je zostawił Antek, a sam spokojnie przyglądał się jatce.

– Nie bucz, głupia! Ojcowa krowa to nie nasza strata! – powiedział ze złością do żony i zabrał się do wyprzęgania i rozbierania koni, które już Witek ciągnął za grzywy do stajni.

– Ziemniaków w polu dużo? – zagadnął Boryna, myjąc pod studnią ręce.

– A bogać tam mało, będzie ze dwadzieścia worków.

– Trzeba dzisiaj zwieźć.

– Hale, zwoźcie se sami, ja już kulasów nie czuję ni krzyża... a i licowy kuleje na przednią.

– Józka, zwołaj no Kubę od kopania, niech żróbkę założy za licowego i trza dzisiaj zwieźć. – Deszcz ano być może.

Ale wrzał złością i zmartwieniem, bo coraz to przystawał przed krową i kłął siarczyście, a potem łąził po podwórzu i zaglądał to do obory, to do stodoły, to pod szopę i sam nie wiedział, czego szuka, żarła go ano taka strata.

– Witek! Witek! – jął wołać i odpinał szeroki ramię z bioder, ale chłopak się nie pokazał.

Ludzie się porozchodzili, bo rozumieli, że taka szkoda i taka markotność musi się skończyć bitką, jako że do niej Boryna był skory zazwyczaj, ale stary kłął tylko dzisiaj i poszedł do izby.

– Hanka, a daj no jeść! – krzyknął na synową w otwarte okno i poszedł na swoją stronę.

Dom był zwykły, kmiący – przedzielony na przestrzał sienią ogromną; szczytem wychodził na podwórze, a frontem czterookiennym na sad i na drogę.

Jedną połowę od ogrodu zajmował Boryna z Józią, a na drugiej siedzieli Antkowie. Parobek z pastuchem sypiali przy koniach.

W izbie było już czarniawo, bo przez małe okienka, przysłonięte okapem i zagajone drzewami, mało przeciskało się światła, a i mroczyło już na świecie, że tylko połyskiwały szkła obrazów świętych, co rzędem czerniły się na bielonych ścianach; izba była duża, ale przygnieciona czarnym pułapem i ogromnymi belkami pod nim, i tak zastawiona różnym sprzętem, że tylko koło wielkiego komina z okapem, co stał przy siennej ścianie, było nieco swobodnego miejsca.

Boryna się rozzuł i poszedł do ciemnego alkierza²², zamykając drzwi za sobą, odsunął z małej szybki deskę, że zachodnie światło krwawym brzaskiem zalało alkierz.

Izdebka pełna była różnych rupieci i statków gospodarskich, na drążkach, w poprzek przewieszonych, wisały kozuchy, czerwone pasiaste wełniaki, białe sukmany, to całe pęki motków szarej przędzy i zwinięte w kłęby brudne runa owiec i worki z pierzem. Wyciągnął białą sukmanę i pas czerwony, a potem długo czegoś szukał w beczkach napełnionych zbożem, to w kącie pod stosem starych rzemieni i żelastwa, aż usłyszawszy Hankę w pierwszej izbie, zaciągnął deskę na okienko i znowu coś

²² *alkierz* – ustronny pokoik, często w narożniku budynku; garderoba. [przypis edytorski]

długo grzebał w zbożu.

A na ławie pod oknem już się dymiło jadło; od ogromnego tygla z kapustą rozchodził się zapach słoniny, jak i od jajecznicy, której niezgorsza miseczka stała obok.

– Gdzie Witek paśł krowy? – zapytał, krając potężny glon chleba z bochna, jak przetak²³ wielkiego.

– Na dworskich zagajach i borowy go stamtąd wygonił.

– Ścierwy, zmarnowali mi bydłę.

– Przeciech, tylo krowa, to się zlachąła w tym gonieniu, że się w niej cosik zapaliło.

– Dziadaki, psiekrwie. Paśniki są nasze, w tabeli stoi kiej wół, a one ciągiem wyganiają i pedają, co²⁴ ich.

– Drugich też powyganiali, a chłopaka Walkowego tak zbił, tak zbił...

– Ha! do sądu trza abo i do komisarza. Trzysta złotych warta, jak nic.

– Pewnie, pewnie – przytakiwała rada niezmiernie, że ociec się udobruchali.

– Powiedźcie Antkowi, że skoro ziemniaki zwieją, to niech się wezmą do krowy, trza ją obłupić i poćwiertować. Przyndę od wójta, to wama pomogę. W sąsieku²⁵ u belki ją powiesić – będzie

²³ przetak – rodzaj sita. [przypis edytorski]

²⁴ pedają, co – powiadają, że. [przypis edytorski]

²⁵ sąsiek – wydzielona część spichlerza, w której składowano w skrzyniach ziarno. [przypis edytorski]

przespiecznie²⁶ ode psów lebo jenszej gadziny...

Skończył wrychle²⁷ jeść i wstał, bych się nieco przyogarnąć, ale takie ociążenie poczuł w sobie, takie ciągotki w kościach, taką senność, że jak stał, rzucił się na łóżko, by się z pacierz²⁸ przedrzymać.

Hanka poszła na swoją stronę i krzątała się po izbie, i coraz to wychylała się przez okno spojrzeć na Antka, który pożywiał się na ganku, przed domem; odsadził się od miski obyczajnie i z wolna ciągnął łyżkę za łyżką, skrzybiąc mocno o wręby i spozierając czasami przed się na staw – bo zachód już był i na wodzie czyniły się złotopurpurowe tęczę i płomienne koliska, przez które niby białe chmurki przepływały z gęgotem gęsi, rozlewając dziobami sznury krwawych pereł.

Wieś zaczynała się mrowić i wrzeć ruchem; na drodze, z obu stron stawu, ciągle podnosiły się kurzawy i turkoty wozów, i porykiwania krów, które wchodziły do stawu po kolana, piły wolno i podnosiły ciężkie łby, aż cienkie strugi wody, niby bicze opali, opadały im z szerokich gębul.

Gdzieś, od drugiego końca stawu, słyhać było trzask kijanek²⁹ bab piorących i głuchy, monotony łopot cepów³⁰ w

²⁶ *przespiecznie* – bezpiecznie. [przypis edytorski]

²⁷ *wrychle* – szybko. [przypis edytorski]

²⁸ *pacierz* – tu: miara czasu (tyle, ile potrzeba na odmówienie pacierza). [przypis edytorski]

²⁹ *trzask kijanek* – kijanka był to przyrząd drewniany, za pomocą którego kobiety prały bieliznę i ubrania w rzece, uderzając kijanką materiał zanurzony w wodzie. [przypis edytorski]

jakiejś stodole.

– Antek, urąb no pieńków, bo sama nie poradzę – prosiła nieśmiało i z obawą, bo nic to nie było u niego skłąć abo i zbić z leda powodu.

Nie odrzekł nawet, jakby nie słyszał, że ona nie śmiała powtórzyć i już sama poszła udziabywać trzaski z pni – i milczał zły, zmęczony całodzienną pracą srodze, i patrzył teraz na staw, na drugą stronę, w duży dom, świecący białymi ścianami i szybami okien, bo zachód bił w niego. Pęki czerwonych georginii wychylały się zza kamiennego płotu i paliły jaskrawo na tle ścian, a przed chałupą, w sadzie, to między opłotkami uwijała się wysoka postać, ale twarzy rozeznac nie można było, bo co chwila ginęła w sieni, to pod drzewami.

– Śpią se kiej dziedzic, a ty, parobku, rób – mruknął ze złością, bo ojcowe chrapanie rozlegało się aż na ganku.

Poszedł na podwórze i raz jeszcze przyjrzał się krowie.

– Juścik, ojcowa krowa, ale i nasza strata – rzekł do żony, która, że to Kuba przywiózł ziemniaki z pola, rzuciła łupanie drzewa i szła do woza.

– Doły jeszcze nie wyporządzone, to trza zesuć³¹ na klepisko.

– Kiej ociec mówili, żebyś na klepisku krowę z Kubą obdarł

³⁰ *cep* – proste narzędzie służące do młócenia zboża, zbudowane z dwóch połączonych ze sobą rzemieniem lub łańcuchem kijów, z których dłuższy (dzierżak) służył jako uchwyt, a krótszy (bijak) do uderzania w zboże, ułożone na twardym podłożu; dzięki umiejętnemu uderzaniu (bijak powinien spadać płasko, a nie na sztorc) oddziela się ziarno od plew i słomy. [przypis edytorski]

³¹ *zesuć* – zsunąć. [przypis edytorski]

i wyporządził.

– Zmieści się i krowa, zmieszczą się i ziemniaki – szeptał Kuba, otwierając wierzeje stodoły na roścież.

– Ja ta nie jestem drzyk, cobym krowę obłupiał ze skóry – rzucił Antek.

I już nie mówili, słychać było tylko grochot zsypywanych na klepisko ziemniaków.

Słońce zgasło, wieczór się robił, świeciły jeszcze zorze łunami zakrzepłej krwi i ostygłego złota i posypywały na staw jakby pyłem miedzianym, że wody ciche drgały rdzawą łuską i szmerem sennym.

Wieś zapadała w mrokach i w głęboką, martwą ciszę jesiennego wieczora. Chałupy malały, jakby się przyplaszczały do ziemi, jakby się tuliły do drzew sennie pochylonych, do płotów szarych.

Antek z Kubą zwozili ziemniaki, a Hanka z Józią uwijały się koło gospodarstwa, bo gęsi trza było zagnać na noc, to świnię nakarmić, bo z kwikiem cisnęły się do sieni i wsadzały żarłoczne ryje do cebratek³², gdzie stało picie dla bydła, to krowy wydoić, bo właśnie Witek przygnał resztę z pastwiska i zakładał im za drabiny po garści siana, żeby spokojniej stały przy dojeniu.

Jakoż Józia zabrała się doić pierwszą z brzegu, gdy Witek wylazł od żłobów i spytał cicho, trwożnie:

– Józia, a gospodarz źli?...

– O Jezu, spiera cię, chudziaku, spiera... tak pomstowali –

³² *cebratka* – wiaderko (zdrobn. od cebro). [przypis edytorski]

odpowiedziała, wytykając ku światłu głowę i osłaniając ręką twarz, bo krowa chlastała ogonem, oganiając się od much.

– Ale... bom to winowaty... ale... borowy mię wygnał i jeszcze chciał kijem sprać, inom uciekł... a granula zarno³³ się jąła pokładać, a porykiwać, a stękać, żem do chałupy przygnał...

Zamilkł, ale słychać było ciche, bolesne chlipanie i siurkanie nosem.

– Witek... a nie bucz kiej cieie, bo ci to pierwszyzna, że cię ociec spiera?...

– Juści, że nie pierwszyzna, ale zawdy tak się bojam... bo nijakiej wytrzymałości na bicie nie mam...

– Głupiś, parobek tyli, a boja się... już ja przełożę tatusiowi...

– Przełożysz, Józia? – zawołał radośnie – bo to borowy mię wygnał z krowami, bo...

– Przełożę, Witek, ino się już nie bojam!...

– Kiej tak... to naści tego ptaka! – szepnął z radością i wyjął z zanadrza drewniane cudło. – Obacz ino, jak się sam ruchu.

Postawił go na progu obory, nakręcił, i ptak zaczął się kiwać, podnosić nogi długie i spacerować...

– Bociek, Jezu a dyc się ruchu kiej żywy! – zawołała zdumiona, odstawiła szkopek³⁴, przykucnęła przed progiem i z najżywszą radością i zdumieniem patrzyła.

– Jezu! to z ciebie mechanik! I to się sam tak ruchu, co?

– A sam, Józia, ino go kołeczkiem nakręcę, to już se spaceruje

³³ *zarno* – zaraz, od razu. [przypis edytorski]

³⁴ *szkopek* lub: *skopek* – naczynie, kubek, kubek. [przypis edytorski]

kiej dziedzic po obiedzie – o... – odwrócił go, i ptak poważnie a śmiesznie zarazem podnosił długą szyję, podnosił nogi i szedł.

Zaczęli się śmiać serdecznie i bawić się jego ruchami, tylko Józia czasami podnosiła oczy na chłopaka – podziw w nich był a zdumienie.

– Józia! – rozległ się głos Boryny sprzed chałupy.

– A czegoj?... – odkrzyknęła.

– Chodzi ino.

– Kiej dojem krowy.

– Pilnuj tu, bo idę do wójta – powiedział, wsadzając głowę do ciemnej obory – nie ma tutaj tego znajdka, co?

– Witka?... ni, pojechał po ziemniaki z Antkiem, bo Kuba miał urznąć siczki dla koni... – odpowiedziała prędko i trochę niespokojnie, bo Witek przycupnął za nią ze strachu.

– Ścierwa ten chłopak, to ino pasy drzeć, żeby zmarnować taką krowę – mrucał powracając do izby, gdzie się odział w nową kapotę białą, wyszywaną na wszystkich szwach czarnymi tasiemkami, nadział wysoki czarny kapelusz, okręcił się czerwonym pasem i poszedł drogą nad stawem ku młynowi.

– Roboty jeszcze tyła... zwózka drzewa... siew nie skończony... kapusta w polu... ściółka nie wygrabiona... podorać by trza na kartofle... dobrze by i pod owsy... a tu jedź na sądy... Laboga, że to człek nigdy obrobić się nie obrobi, ino ciągiem jak ten wół w jarzmie... że i wyspać się nie ma czasu ni odpocząć... – rozmyślał. – A tu i ten sąd... Tłumok ścierwa, hale, ja z nią sypiałem... żebyś ozór straciła... lakudro jakaś...

suka... – splunął ze złością, nabił fajeczkę machorką³⁵ i długo pocierał zwilgotniałe zapałki o portki, nim zapalił.

Pykał od czasu do czasu i włókł się wolno; bolały go wszystkie kości i żale za krową raz wraz go markociły i rozbierały.

A tu ani odbić się na kim, ani wyzalić, nic... sam jak ten kołek; sam o wszystkim myśl, sam deliberuj łbem, sam kiele wszystkiego obiegaj kiej ten pies... a do nikogój słowa przemówić i rady znikąd ni pomocy – a ino strata i upadek... a wszystkie to kiej te wilki za owcą... a ino skubią, a patrzą, kiedy ozerwą w kawały...

Ciemnawo już było we wsi, przez przywierane drzwi i okna, że to wieczór był ciepły, buchały smugi ognisk i zapach gotowanych ziemniaków i żuru ze skwarkami; gdzieniegdzie jedli w sieniach albo i zgoła przed domami, że ino skrzybot łyżek słychać było a pogadywania.

Boryna szedł coraz wolniej, bo ocieężało go rozdrażnienie, a potem przypomnienie nieboszczki, co ją na zwiesnę był pochował, ułapiło go za grdykę...

– Ho! ho!... przy niej, co ją wspominam wieczorem w dobry sposób, nie przygodziłoby się tak granuli... gospodyni to była, gospodyni!... Juści, że i mamrot, i przeklętnica też, że i dobrego słowa nikomu dać nie dała i ciągiem się z babami za łby wodziła... ale zawždy żona i gospodyni! – Tu westchnął pobożnie na jej intencję, i żal go jeszcze większy dusił, bo przypominał, jak to bywało...

³⁵ machorka – tytoń kiepskiej jakości. [przypis edytorski]

Przyszedł z roboty, spracowany – to i jeść tłusto dała, i często gęsto kiełbasy podtykała kryjomo przed dzieciskami... A jak się wszystko darzyło!... i cielaki, i gąski, i prosiaki... że co jarmarek było z czym jeździć do miasta, i grosz był zawsze gotowy, na zakład z samego przychówku... A już co kapusty z grochem, to już jensza zgoła tak nie potrafi...

A teraz co?...

Antek ino na swoją stronę ciągnie, kowal też wypatruje, aby co chyć, a Józka? Skrzat głupi, któremu plewy jeszcze we łbie, co i nie dziwota, bo dzieusze mało co na dziesiąty rok idzie... Hanka kiej ta ćma łązi, a choruje jeno, i tyle robi, co ten pies zapłacze...

Toć i marnieje wszystko... granule trza było dorznać... we żniwa wieprzak zdechł... wrony gąski tak przebrały, że z połowa ostała!... Tyle marnacji, tyle upadku!... Przez sito wszyćko leci, przez sito...

– Ale nie dam! – wykrzyknął prawie głośno – póki rucham tymi kulasami, to ani jednej morgi nie odpiszę i do waju³⁶ na wycug³⁷ nie pójde...

Ino Grzela z wojska do dom powróci, to niechta se Antek na żoniną gospodarkę wróci... nie dam...

– Niech będzie pochwalony! – zabrzmiał jakiś głos.

– Na wieki!... – odrzucił machinalnie i skręcił z drogi w

³⁶ do waju (gwar.) – do was. [przypis edytorski]

³⁷ wycug – dożywotnie utrzymanie, jakie powinny zapewnić dzieci rodzicom, po przepisaniu przez nich majątku na dzieci. [przypis edytorski]

szerokie i długie opłotki, bo wójtowa osada leżała trochę w głębi.

W oknach się świeciło i pieski ujadać poczęły.

Wszedł prosto do świetlicy.

– Wójt doma? – zapytał tłustej kobiety, klęczącej przy kołysce i karmiącej dziecko.

– Zarno wróca, pojechał po ziemniaki. Siadajcie, Macieju, a dyć i ci też czekają na niego – wskazała ruchem brody na dziada siedzącego przy kominie; był to ten stary ślepiec, wodzony przez psa; czerwonawe światło szczap ostro opływało jego ogromną, wygoloną twarz, łysą czaszkę i szeroko otwarte oczy, zasnutę bielmem, nieruchomo tkwiące pod siwymi, krzaczastymi brwiami...

– Skąd to Pan Bóg prowadzi? – zapytał Boryna, siadając po drugiej stronie ognia.

– Ze świata, a skądże by, gospodarzu? – odpowiadał wolno rozlazłym, jęczącym, iście proszalnym głosem i nadstawiał pilnie uszów, a wyciągnął tabakierkę.

– Zażyjcie, gospodarzu.

Maciej zażył rzetelnie i kichnął raz po raz trzy razy, aż mu łzy w oczach stanęły.

– Tęga jucha! – i rękawem tarł załzawione oczy.

– Niech wam będzie na zdrowie. Peterburka, dobrze ano robi na oczy.

– Wstąpcie jutro do mnie, krowem dorznął, to się tam jaka sztuczka ła was znaleźć znajdzie.

– Bóg zapłać... Boryna, widzi mi się, co?... —

– A juści, żeście to rozeznali?... no, no.

– Po głosie ino, po gadaniu.

– Cóż ta we świecie słyhać? Wędrujecie ciągiem?

– Moiściewy, a cóż by! – A to źle, a to i dobrze, a to i różnie, jak we świecie. A wszyscy piszczą, a narzekają, jak przyjdzie dziadowi co dać abo i drugiemu, ale na gorzałę mają.

– Prawdę rzekliście, bo ano tak i jest.

– Ho, ho! tyle roków się człek telepie po tej świętej ziemi, to się i wie różnie.

– A gdzieście to podzieli tego znajdę, co was prowadzał łoni?
– zapytała wójtowa.

– Poszedł se ścierwa, poszedł, wyłuskał on mi dobrze torbeczki... Miałem coś grosza od ludzi ochfiarnych, com go niósł na wotywy do Częstochowskiej Paniienki, to mi jucha podebrał i poszedł we świat! Cichoj, Burek! bo to pewnikiem wójt! – pociągnął sznurkiem i pies warczeć przestał.

Zgadł, bo wójt wszedł, bat rzucił w kąt i od progu wołał:

– Żono, jeść, bom głodny kiej wilk – jak się macie, Macieju; a wy czego, dziadu?...

– Ja do was, Pietrze, wedle tej mojej sprawy, co ma być jutro.

– Ja zaś se poczekam, panie wójcie. Każecie w sieniach – dobrze i tam będzie, a ostawicie przy ogniu, że to stary jestem, ostaną, a dacie tę miseczkę ziemniaków abo i chleba skibkę, to pacierz za was zmówię jeden abo i drugi... jakbyście dali gotowy grosz abo i dziesiątkę...

– Siedźcie se, dostaniecie i kolację, a chcecie, to zanocujcie...

I wójt siadł do miski, okrytej parą świeżo utłuczonych ziemniaków i polanych obficie skwarkami, w drugiej donicy stało zsiadłe mleko.

– Siadajcie, Macieju, z nami, zjecie, co jest – zapraszała wójtowa, kładąc trzecią łyżkę.

– Bóg zapłać. Przyjechałem z boru, tom se już dobrze podjadł...

– Bierzcie się ano za łyżkę, nie zaszkodzi wam, teraz już wieczory długie...

– Długi pacierz i duża miska, jeszcze bez to niktoj nie pomarł – rzucił dziad.

Boryna wzdragał się, ale w końcu, że słonina mocno raziła mu nozdrza, przysiadł się do ławki i pojadał z wolna, delikatnie, jak obyczaj kazał.

A wójtowa raz wraz wstawiała i dokładała kartofli, to mleka przylewała.

Dziadowski pies się kręcił i skamlał zdziebko do jadła.

– Cichoj, Burek, gospodarze ano jedzą... i ty dostaniesz, nie bój się... – uspokajał go dziad i wciągał nozdrzami smakowitą woń, a przygrzewał ręce przy ogniu.

– To Jewka was podobno zaskarzyła – zaczął wójt, podjadłszy nieco.

– A ona ci! Żem to jej zasług nie wypłacił! Zapłaciłem, jak Bóg w niebie, i jeszcze ponadto z dobrego serca księdzu za chrzciny dał worek owsa...

– Ona powieda, że ten dzieciak to...

– W imię Ojca i Syna! Wściekła się czy co?

– Ho, ho, stary z was, a jeszcze majster! – Wójtowie poczęli się śmiać.

– Staremu prędzej się przytrafi, bo praktyk ci jest i znający!
– szeptał dziad.

– Cygani jak ten pies, anim ją tknął. Jeszcze by, taki tłumok... taka pode płotem zdychała, a skamlała, coby ją za samą warzę a kąt do spania wziąć, bo na zimę szło. Nie chciałem, ale nieboszka pedo³⁸: „Weźmiem, przyda sie w domu, co mamy przynajmować? będzie swoja pod ręką...” Nie chciałem ja, jako że zimą roboty nijakiej, a jedna gęba więcej do miski. Ale nieboszka pedo: „Nie turbuj się, umie pono wełniaki i płótno tkać, zasadzę ją i niechta se ścibie, zawsze coś uścibie.” No i ostała, odpaśła się ino i zarno się postarała o przychówek³⁹... A kto w spółce, to już różnie gadali...

– Ona skarży na was.

– Zakatrupię ścierwę, cygana pieskiego!

– Ale do sądu trza wam iść.

– Pójdę. Bóg zapłać, żeście mi powiedzieli, bo wiedziałem ino, że o zasługi – ale zapłaciłem, na co świadków mam! A pyskacz zapowietrzony, a dziadówka! Loboga, tyle umartwienia, że jaż chyba udziżyć nie udziżę – a to mi i krowa padła, że dorznąć musiałem, roboty nie pokończzone, a tu człowiek sam kiej ten palec.

³⁸ *pedo* – powiada. [przypis edytorski]

³⁹ *przychówek* – potomstwo. [przypis edytorski]

– U wdowca to kiej między wilkami owca – powiedział znowu dziad.

– O krowiem słyszał, mówili mi już na polu...

– To dworska sprawa, bo pono borowy wygnał z zagajów. Najlepsza krowa! Ze trzysta złotych wartała, zegnała się, bo ciężka była, zapaliły się w niej wąpia, żem dorznać musiał... Ale dworowi tego nie daruję... Podam do sądu.

Ale wójt zaczął mu tłumaczyć i przekładać, żeby się wstrzymał, jako w pierwszej złości zawsze się źle radzi, bo stał za dworem, a w końcu, żeby zwrócić rozmowę w inną stronę, mrugnął na żonę i powiedział:

– Bobyście się, Macieju, ożenili i miałby kto gospodarstwa pilnować.

– Kpicie czy co?... A dyć na Zielną skończyłem pięćdziesiąt i osiem років. Co wama też w głowie, jeszcze tamta dobrze nie ostygła...

– Weźcie kobitę do swego wieku, a zaraz się wam zgoi wszystko – dodała wójtowa i jęła sprzątać ze stołu.

– Dobra żona głowy mężowej korona – dorzucił dziad, obmacując miski, które przed nim postawiła wójtowa.

Zachnął się Boryna, ale zamedytował głęboko, że mu to samemu do głowy nie przyszło. Boć jaka się tam kobieta nadarzy, a zawždy z nią lepiej niżli samemu biedować...

– Która i głupia jest, i niemrawa, która znów kłótnica, która do chłopskich kołtunów sięgająca, która paparuch a latawiec po muzykach i karczmach, a zawždy chłopu z nią lepiej i wygoda –

ciągnął dziad, pojadając.

– Dopiero by na wsi wydziwiali – powiedział Boryna.

– Hale – ludzie wama zwrócą krowę abo i co poradzą, abo i kiele gospodarstwa chodzić będą, abo się nad wami użalą – zagadała gorąco wójtowa.

– Albo i ciepłą pierzynę narządzą – zaśmiał się wójt. – A we wsi tyle jest dziewczuch, że jak się idzie między chałupami, to bucha kiej z pieca.

– Ale, widzisz go, rozpustnik... czego mu się zachciewa...

– A Zośka Grzegorzowa na ten przykład, śmigła, piękna i wiano niezgorsze.

– A cóż to Maciejowi potrza wiana, nie gospodarz to pierwszy we wsi?

– Kto by ta miał dobra a i grontu dosyć – zaoponował dziad.

– Ni Grzegorzowa nie la nich – podjął wójt – za mdła i młódka to jeszcze.

– A Jędrkowa Kasia? – wyliczała dalej wójtowa.

– Zmówiona. Wczoraj Rochów Adam posyłał z wódką.

– Jest ci jeszcze Stachowa Weronka.

– Mamrot, latawiec i jedno biedro ma grubsze.

– A wdowa po Tomku, jakże to jej?... całkiem jeszcze do żeniaczki...

– Troje dzieci, cztery morgi, dwa krowie ogony i stary kozuch po nieboszczyku.

– A Ulisia tego Wojtka, co to za kościołem siedzi?...

– I... to la kawalera... z przychówkiem, chłopak mógłby już

być do pasionki, ale Maciejowi tego nie potraza, ma już pastucha swojego.

– Jest ci jeszcze, jest tego nasienia pannaowego, ale ino wybieram takie, co by pasowały la Macieja.

– A zabaczyłaś⁴⁰ o jednej, co by była la nich w sam raz.

– Którna?...

– A Jagna Dominikowa?

– Prawda, całkiem o niej przepomniałam.

– Sielna dziewczucha, a rosła, że bez płot nie przejdzie, bo żerdki pod nią pękają... a piękna, biała na gębie, a urodna kiej jałowica.

– Jagna – powtórzył Boryna słuchający w milczeniu wyliczania – a to powiedają o niej, że łasa na chłopaków.

– Ale, był to kto przy tym, to wie! Pleciuchy pletą, byle pleść, a wszystko ino przez zazdrość – bronila mocno wójtowa.

– Ja też nie powiedam sam z siebie, ino tak pogadują. Ale trza mi iść – poprawił pasa, wraził węgielek we fajkę i pyknął parę razy.

– Na którą to w sądzie? – zapytał spokojnie.

– Na dziewiątą napisane w powiestce. Musicie do dnia wstać, jeśli na piechty.

– I... żróbką se wolno pojadę. Ostańcie z Bogiem, dziękuję wama za pożywienie i somszedzką radę.

– Idźcie z Bogiem, a pomyślcie, cośwa wama raili⁴¹...

⁴⁰ *zabaczyć* – zapomnieć. [przypis edytorski]

⁴¹ *cośwa wama raili* – cośmy wam raili; *raić* – polecać, rekomendować, swatać.

Powiecie, to z wódką pójdę do pani matki i jeszcze przed Godami sprawim wesele...

Boryna nie odrzekł nic, łypnął ino oczami i wyszedł.

– Jak stary młódkę bierze, diabeł się cieszy, bo profit z tego miał będzie – rzekł dziad poważnie, skrobiąc głośno po dnie miski.

Boryna wolno wracał i żuł w sobie rozważnie, co mu raili. Nie dał poznać po sobie tam u wójtów, że mu się ta myśl strasznie udała⁴², bo jakże, gospodarz był, a nie żaden chłopak, co to ma jeszcze mleko pod nosem, a na wspominek o żeniaczce aż kwiczy i z nogi na nogę przeddeptuje.

Noc już ogarnęła ziemię, gwiazdy srebrną rosą pobłyskiwały z ciemnych, głuchych głębin, cicho było we wsi, psy tylko niekiedy poszczekiwały, a tu i owdzie spoza drzew mżyły się słabe światełka... czasem wilgotny podmuch zawiął z łąk, że drzewa poczęły się lekko chybotać i z cicha poszmerywać listkami.

Boryna nie wrócił drogą, jaką był przyszedł, a tylko puścił się w dół, przeszedł most, pod którym woda z bełkotem przelewała się do rzeki i waliła głucho na młyn, i nawrócił na drugą stronę stawu – wody leżały ciche i lśniły się czarniawo, pobrażne drzewa rzucały na taflę czarne cienie i jakby ramą obejmowały brzegi, a w pośrodku stawu, gdzie jaśniej było, odbijały się gwiazdy niby w zwierciadle stalowym.

Maciej sam nie wiedział, dlaczego nie poszedł prosto do

[przypis edytorski]

⁴² *udała mu się* – spodobała. [przypis edytorski]

domu, a wybrał dłuższą drogę, może aby przejść koło domu Jagny? a może aby zebrać nieco myśli i pomedytować.

– Juści, że byłoby niezgorzej! juści! A co tam o niej mówią, to taka prawda. – Splunął. – Sielna kobieta! – Dreszcz nim wstrząsała, bo i chłód wilgotny szedł od stawów, a u wójtów gorąc był silny.

– A bez kobiety trza zmarnieć abo dzieciom gospodarkę odpisać – myślał – a duża jucha i kiej malowana. – A krowa najlepsza padła, a kto wie jutra?... Może to i trza poszukać żony? Tyle obleczenia⁴³ po nieboszce jest – przygodziłoby się. Ale stara Dominikowa to pies... a cóż, mają chałupę i gront, to by na swoim ostała. Troje ich, a mają piętnaście morgów, to niby na Jagnę pięć i spłata za chałupę i lewentarz⁴⁴! Pięć morgów to rychtyk te pola za mojem kartofliskiem, żyto, widzi mi się, posiały latoś, tak... Pięć morgów do moich to... trzydzieści i pięć bez mała! Karwas pola!...

Zatarł ręce i poprawił pasa. – To ino młynarz ma więcej... złodziej, krzywdą ludzką a precentami, a oszukaństwem tyła nabrał... A na bezrok podwiózłbym gnoju, a uprawił i pszenicy posiał na całym kawale; konia by trzeba przykupić, a i po granuli krowinę jaką... Prawda, krowę by dostać dostała...

I tak rozmyślał, liczył, rozmarzał się gospodarsko, aż czasem i przystawał z ciężkiej deliberacji. A że mądry chłop był, to wszystko zasię zbierał w sobie i głęboko w głowę patrzył, coby

⁴³ *obleczenie* – ubranie. [przypis edytorski]

⁴⁴ *lewentarz* – inwentarz; zwierzęta w gospodarstwie wiejskim. [przypis edytorski]

czego nie prześlepić i nie zapomnieć.

– Wrzeszczałyby juchy, wrzeszczały! – pomyślał o dzieciach, ale wnet fala mocy i pewności zalała mu serce i skrzepiła głuche jeszcze, wahające postanowienia.

– Gront mój, wara komu drugiemu do niego. A nie chceta, to... – nie skończył, bo stanął przed chałupą Jagny.

Świeciło się u nich jeszcze i przez otwarte okno padała szeroka smuga światła i szła przez kierz georginiowy i niskie drzewa śliwkowe aż na płot i drogę.

Boryna stanął w cieniu i zapuścił wzrok w izbę.

Lampka tliła się nad okapem, ale w kominie musiał się buzować tęgi ogień, bo słychać było trzask świerczyny i czerwone światło zapełniało ogromną, mroczną po kątach izbę; stara, skulona przed kominem, czytała cosik głośno, a Jagna przeciw niej twarzą do okna siedziała; w koszuli była tylko i z podwiniętymi do ramion rękawami – podskubywała gęś.

– Urodna jucha, to urodna! – myślał.

Podnosiła czasem głowę, nasłuchiwała matki, wzdychała ciężko, to znowu brała się skubać pióra, aż gęś zagegała boleśnie i rwać się poczęła z krzykiem z jej rąk, i bić skrzydłami, że puch się rozwiął po izbie białym tumanem. Uspokoiła ją rychło i mocno ścisnęła kolanami, że gęś jeno pogęgiwała z cicha a boleśnie, i odpowiadały jej inne gdzieś z sieni czy z podwórza.

– Piękna kobieta – pomyślał i odszedł spieszenie, bo mu uderzyło do głowy, aż się podrapał, zapiął pętlę i pasa przyciągnął.

Już był w swoich wrotach i wchodził w opłotki, gdy się obejrzał na jej dom, bo rychtyk stał naprzeciw, tyło że po tamtej stronie wody. Ktoś akuratnie wychodził, bo przez drzwi uchylone lunęła struga światła i jak błyskawica zamigotała i padła aż na staw, potem czyjeś mocne stąpania zadudniły, i rozległ się chlupot wody nabieranej, a w końcu wskroś ciemni i mgieł, co się były zwlekały z łąk, śpiew się ozwał przyciszony:

Ja za wodą, ty za wodą,
Jakże ja ci buzi podom?...
Podam ci ją na listeczku,
A naścizę, kochaneczku...

Słuchał długo, ale głos rychło przepadł i światła wkrótce pogasły.

Na niebo wtaczał się zza lasów księżyc w pełni i rozsrebrał czuby drzew, i siał przez gałęzie światło na staw, i zaglądał w okna chat, co mu były naprzeciw. Psi nawet pomilkli, cichość niezgłębiona objęła wieś całą i stworzenie wszelkie.

Boryna obszedł podwórze, zajrzał do koni, parskały i gryzły obroki; wsadził głowę do obory, bo drzwi dla gorąca stały otworem. Krowy leżały przeżuwając a postępując, jako to jest zwyczajnie u bydlatek. Przywarł wrota do stodoły.

Zdjawszy kapelusz, szedł do izby i mówił półgłosem pacierz. A że spali już wszyscy, rozżuł się po cichu i zaraz legł spać.

Ale zasnąć nie mógł, to pierzyna go parzyła, że nogi spod niej wysuwał, to mu po głowie chodziły sprawy różne, a turbacje, a

pomyślenia... to mu brzuch ano ciężył srodze, że postękiwał i mrucał.

– Zawždy mówię, że zsiadłe mleko ino rozpiera brzucho, coby na noc nie dawać...

A potem jął myśleć o Jagnie; jak by to dobrze było, bo i urodna, i gospodarna, i tyle pola... To znowu przypominał sobie dzieci, to te gadania na Jagnę, że mąciło się w nim wszelakie rozeznanie, i już nie wiedział, co począć, że uniósł się nieco, i jak to było zwyczajnie, chciało mu się do drugiego łóżka zawołać i poradzić:

– Maryś! Żenić się czy to się nie żenić z Jagną?...

Ale w czas sobie przypomniął, że Maryś już od zwiesny na cmentarzu, a tam se śpi Józka i chrapie, a on jest sierotą, która poradzić się nikogo nie ma; to ino westchnął ciężko, przeżegnał się i jął mówić zdrowaśki za nieboszczkę i wszystkie dusze w czyścju ostające.

III

Już świt ubielił dachy i zgrzebną, szarą płachtą przysłonił noc i gwiazdy pobladłe, gdy ruch się uczynił w Borynowym obejściu.

Kuba zwlókł się z wyrka i wyjrzał przed stajnię – szron leżał na ziemi i szaro było jeszcze, ale już zorze rozpałały się na wschodniej stronie i czerwieniły czuby drzew oszroniałych – przeciągnął się z lubością, ziewnął parę razy i poszedł do obory, aby krzyknąć na Witka, że czas wstawać, ale chłopak uniósł nieco senną głowę i szepnął:

– Zaraz, Kuba, zaraz! – i przytulał się do legowiska.

– Pośpij se dziebko, biedoto, pośpij! – Przyokrył go kożuchem i pokuszykał, bo że nogę miał kiedyś przestrzeloną w kolanie, kulał srodze i ciągnął ją za sobą; umył się pod studnią, przygładził dłonią rzadkie, wyleniałe włosy, co mu się były pozwijają w kołtuny, i klęknął na progu stajni odmawiać pacierze.

Gospodarz spali jeszcze, w oknach chałupy zapalały się krwawe brzaski zórz, a gęste, białe mgły zwlekały się z wolna ze stawów, kołysały ciężko i posuwały w górę podartymi szmatami.

Kuba przesuwiał w palcach koronkę i modlił się długo, a biegał oczami po podwórzu, po oknach chałupy, po sadzie omroczonym jeszcze na dole, po jabłonkach, obwieszonych jabłkami niby pięście; rzucił czymściś do budy, co stała zaraz koło drzwi, w biały łeb Łapy, aż pies zawarczał, zwinął się i spał

dalej.

– Ale, do samego słońca spał będziesz, jucho! – i rzucił w niego raz, drugi, że pies wylazł, przeciągał się, ziewał, machał ogonem, przysiadł w podle i jął się drapać i czynić zębami w gęstych kudłach porządek.

...I ochfiaruję ten pacierz Tobie i wszystkim świętym. Amen!

– Bił się długo w piersi, a powstając, rzekł do Łapy:

– Hale! aligant jucha, wybiera se pchły kiej baba na wesele!

A że robotny był, to się zajął obrządkiem – wóz wytoczył ze stodoły i nasmarował, napoił konie i przyłożył im siana, aż parskać zaczęły i bić kopytami, a potem przyniósł z sąsiedka nieco zgonin, dobrze okraszonych owsem, i wsypał to klaczy do żłobu, bo stała w gródce, osobno.

– Żrej, stara, żrej; żróbka mieć będziesz, to ci mocy trza, żrej! – Pogładził ją po nozdrzach, aż klacz położyła mu łeb na ramieniu i pieszczotliwie chwytła wargami za kołtuny.

– ...Ziemniaki do południa zwieziemy, a pod wieczór do lasu, po ściółkę – nie bój się, ściółka letka, nie zgonię cię...

– A ty, wałkoniu, batem dostaniesz, widzisz go, owies mu pachnie, próżniakowi – mówił do wałacha, co stał obok i łeb wtykał między deski przegrody, do żłobu klaczy – grzmotnął go pięścią w zad, aż koń uskoczył w bok i zarżał.

– Hale, parob żydowski! Żreć to byś choć i czysty owies żarł, a do roboty cię nie ma, bez bata, jucho, z miejsca nie ruszysz, co?

Wyminął go i zajrzał do żróbki, co stała przy ścianie samej i już z daleka wyciągała do niego kasztanowaty łeb ze strzałką

białą na czole i rżała cicho.

– Cichoj, mała, cichoj! Podjedz se ano, bo pojedziesz z gospodarzem do miasta! – Uwił kłak siana i wyczyścił jej bok zawałany. – Tyla klacz, że już do ogiera czas, a świniaś. Utytlesz się zawdy kiej maciora – pogadywał wciąż i poszedł do chlewów wypuścić świnie, bo kwiczały, a Łapa chodził za nim i zagładał mu w oczy.

– Zjadłbyś i ty, co? To naści–że chlebaszka, naści! – Wyjął zza pazuchy kawałek i rzucił, pies pochwycił i schował się do budy, bo świnie ano leciały mu wydrzeć.

– Hale, te swynie to kiej człowiek niektóry, aby ino chycić cudze i zechlać...

Zajrzał do stodoły i długo patrzył na wiszącą u belki krowę.

– Głupie to jeno bydle, a i temu na koniec przyszło. Widzi mi się, co jutro zgotują mięsa... Tyle i z ciebie, biedoto, że człek se podje w niedzielę...

Westchnął do tego jadła i powlókł się budzić Witka...

– Słońce ino, ino – zarno się pokaże... Krowy trza wypędzać.

Witek mamrotał coś, bronił się, przykładał do kozucha, ale w końcu wstać wstał i łąził ociężały i senny po podwórzu.

Gospodarz zaspali dzisiaj, bo słońce już weszło i rozczzerwieniło szrony, i zapaliło łuny w wodach i szybach, a z chałupy nikt się nie pokazywał...

Witek siedział na progu obory i podrapywał się zajadle, i przewiewał, a że wróble poczęły zlatywać z dachów do studni

i trzepać się w korycie, to przyniósł drabkę⁴⁵ i wlaź pod okap zajrzeć do gniazd jaskółczych, bo cicho tam jakoś było.

– Pomarzły czy co?

I jał wyciągać delikatnie pomorzone ptaszki i kłaść je za pazuchę.

– Kuba, wiecie, nie żyją, o! – Pobiegł do parobka i pokazywał sztywne, pogasłe jaskółki.

Ale Kuba wziął ino w rękę, przyłożył do ucha, dmuchnął w oczy i rzekł:

– Zdrętwiały, bo przymrozek galanty⁴⁶. Ale że to głupie nie poszły jeszcze do ciepłych krajów, no, no... – I poszedł do swojej roboty.

A Witek siadł pod chałupą, w szczycie, bo słońce już tam dochodziło i oblewało bielone ściany, po których i muchy łązić poczynały; wyciągał zza koszuli te, które już ogrzane nieco jego ciałem, gmeraty się trochę, chuchał na nie, rozdziawiał im dziobki, poił z ust własnych, aż ożywiały się, otwierały oczy i poczynały wydzierać się do ucieczki; wtedy prawą ręką czaił się po ścianie i raz wraz zagarnął jaką muchę, nakarmił nią i puszczał.

– Lećta se do matuli, lećta – szeptał, patrząc, jak jaskółki siadały na kalenicy obory, czesały się dziobkami i szczebiotały jakby dziękczynienia.

A Łapa siedział przed nim na zadzie i skomlał uciesznie, a co

⁴⁵ *drabka* – drabinka. [przypis edytorski]

⁴⁶ *galanty* – porządny. [przypis edytorski]

który ptaszek wyfruwał, rzucał się za nim, biegł kilka kroków i zawracał z powrotem stróżować.

– Ale, złap wiatery w polu – mruzczał Witek i tak się zatopił w rozgrzewaniu jaskółek, że ani widział, kiedy Boryna wyszedł zza węgła i stanął przed nim.

– Ptaszkami się, ścierwo, zabawiasz, co?

Porwał się, by uciekać, ale już gospodarz chycił go krótko za kark i drugą ręką szybko odpasywał szeroki, twardy pas rzemienny.

– A dyć nie bijcie, a dyć! – zdążył krzyknąć jeno.

– Takiś to pastuch, co? Tak to pilnujesz, co? Najlepsza krowa się zmarnowała, co?... Ty znajdku, ty pokrako warsiaska! Ty! – I bił zapamiętale, gdzie popadło, aż rzemień świszczą, a chłopak wił się kiej piskorz i wrzeszczał:

– Nie bijta! Loboga! Zabije mię! Gospodarzu!... O Jezu, ratujta!...

Aż Hanka wyjrzała z chałupy, co się dzieje, a Kuba splunął i schował się do stajni.

A Boryna łoił go rzetelnie, wybijał mu na skórze swoją stratę tak zajadle, że Witek miał już gębę posinioną i z nosa puściła mu się krew, krzyczał wniebogłosy i cudem jakimś się wyrwał, chwycił się obu rękami z tyłu za portki i gnał w opłotki.

– Jezu, zabili mę, zabili mę! – ryczał i tak pędził, aż mu reszta jaskółek wylatywała zza pazuchy i rozsypywała się po drodze.

Boryna pogroził jeszcze za nim, opasał się i wrócił do chałupy, i zajrzał na Antkową stronę.

– Słońce już na dwa chłopa, a ty się jeszcze wylegujesz! – krzyknął na syna.

– Zmogłem się wczoraj kiej bydlę, to muszę się wywczasować.

– Do sądu pojedę... Zwieź ziemniaki, a jak ludzie skończą kopanie, to zagnać je do grabienia ściółki, a ty mógłbyś kołki pozabijać do ogacenia⁴⁷.

– Ogaćcie se sami chałupę, nama tutaj nie wieje.

– Rzekłeś... to swoją stronę ogacę, a ty marznij, kiejś wałkoń.

Trzasnął drzwiami i poszedł na swoją stronę.

Józka już rozpałała ogień i szła doić krowy.

– Rychło daj jeść, bo trza mi jechać...

– Przecięch się nie ozedrę, dwóch robót razem nie poradzę – i poszła.

– Spokojnego oczymgnienia nie ma, ino kłyżnij się⁴⁸ ze wszystkimi! – myślał i wziął się do obleczenia, ale zły był i zgryziony. Jakże, ciągła wojna z synem, słowa nie można rzec, bo zaraz do oczów z pazurami skacze albo rzeknie coś, co jaże we wątpiach poczujesz. Na nikogo się spuścić, ino haruj i haruj!

Złość w nim zbierała, aż poklinał z cicha i rzucał szmatami po izbie a butami.

– Słuchać się powinny, a nie słuchają! Czemu to? – myślał.

– Widzi mi się, co bez kijaszka z nimi obyć się nie obędzie, bez twardego! Dawno się im to należało, zaraz po śmierci nieboszczki, kiej kłyżnić się zaczęły o gronta, ale się jeszcze

⁴⁷ ogacenie – ocieplenie. [przypis edytorski]

⁴⁸ kłyżnić się – kłócić się. [przypis edytorski]

wagował⁴⁹, żeby zgorszenia we wsi nie czynić. Gospodarz był przeciech nie leda jaki, na trzydziestu morgach, i z rodu nie bele chto – Boryna, wiadomo. Ale dobrością z nimi się nie skończy, nie!... – Tu przyszedł mu na myśl zięć, kowal, któren wszystkich po cichu burzył, a i sam wciąż nastawał, żeby mu sześć morgów odpisać i morgę lasu, a już na resztę chciał poczekać...

– To niby kiej zamrę! Poczekaj, jucho, poczekaj – myślał ze złością. – Póki się ino rucham, nie powąchasz ty ani zagona! Widzisz go, mądrala!

Kartofle już mocno perkotały w kominie, gdy Józka przysła od udoju i wnetki narządziła śniadanie.

– Józka! A mięso sama przedawaj. Jutro niedziela, ludzie się już zwiedziały, to się ich tu naleci; ino nie borguj⁵⁰ nikomu. Pośladek ostaw la nas; zawoła się Jambroża, to zasoli i przyprawi...

– A dyć i kowal umieją...

– Ale, podzieliliby się kiej wilk z owcą.

– Magdzie będzie markotno, że to nasza krowa, a ona nawet nie obaczy.

– To la Magdy wytnij jaką sztuczkę i zanieś, ale kowala nie wołaj.

– Dobryście, tatulu, dobry.

– Hale, córuchno, hale! Pilnuj tutaj, a już ci bułeczkę przywiezę abo i co.

⁴⁹ *wagował* – wahał. [przypis edytorski]

⁵⁰ *borgować* – dawać na kredyt. [przypis edytorski]

Podjadł se niezgorzej, opasał się pasem, przyglądał poślinioną dłońią zwichrzone i rzadkie włosy, ujął bat i jeszcze się rozglądał po izbie...

– Bym czego nie przepomniał. – Chciało mu się zajrzeć do komory, ale się powstrzymał, bo Józka patrzyła, więc się przeżegnał i ruszył.

A już z wasąga, zbierając w garść parciane lejce, rzekł Józce na ganek:

– Skończą ziemniaki, to zaraz iść grabić ściółkę, kwitek jest za obrazem. A niechta zetną jakiego grabka albo i chojkę – przyda się.

Wóz ruszył i już był w opłotkach, gdy Witek mignął pod jabłoniami.

– Zahaczyłem... prru... Witek! Prru! Witek, puść krowy na łąki, a pilnuj, bo cię, jucho, spierę, że popamiętasz!

– Ale, pocałujta mę gdzieś... – odkrzyknął hardo znikając za stodołą.

– Będiesz tu pyskował, jak zleżę, to obaczysz...

Skręcił z opłotków na lewo, na drogę wiodącą ku kościołowi; podciął batem żróbkę, że podyrdała truchcikiem po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

Słońce było już chyła tyła nad chałupami i świeciło coraz cieplej, bo z oszroniałych strzech podnosiły się opary i woda skapywała, tylko w cieniach – pod płotami w sadach, po rowach, leżał jeszcze siwy mróz; po stawie wlekły się ostatnie zrzędłe mgły i woda poczynąła spod bielm wrzeć brzaskami i

odbłyskiwać słońce.

We wsi poczynał się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że zaś przymrozek orzeźwił powietrze, to i raźniej się poruszali, i zgiełkliwiej; wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami a koszykami na rękę, dojadając śniadań; którzy z pługiem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykęcali ku lasom z grabiami na ramionach, ściółkę grabić – że ino dudniło po obu stronach stawu i krzyk się wzmagał, bo drogi były zatłoczone bydłem ciągnącym na paszę, szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchały raz wraz z niskiej, ciężkiej kurzawy, jaka się była wznosiła z orosiałych dróg.

Boryna wymijał trzody ostrożnie, czasem śmignął po wełnie jakie jagniątko głupie, co się nie usuwało przed żrebicą, to cielę jakie, aż i wyminął wszystkich i koło kościoła, który stał osłonięty potężnym wałem lip żółknących i klonów, wjechał na szeroki gościniec, obsadzony z obu stron ogromnymi topolami.

A że w kościele była msza święta, bo sygnaturka przedzwoniła ofiarę i huczały przyciszonym głosem organy, zdjął kapelusz i westchnął pobożnie.

Droga była pusta i zasłana opadłym liściem tak obficie, że wyboje i głęboko powyrzynane koleiny pokryły się rdzawozłocistym kobiercem, pociętym gęstymi pręgami cieniów, jakie rzucały pnie topoli, bo słońce z boku świeciło.

– Wio, maluśka, wio! – Świsnął batem i żrebica przez kilka

stajań poszła raźniej, ale potem opadła i wlekła się wolno, bo droga, choć nieznacznie, szła pod wzgórze, na których czerniały lasy.

Boryna, że go ta cisza mroczyła sennością, to poglądał przez kolumnadę topoli na pola, pławiące się w różowym, porankowym świetle, albo myśleć usiłował o sprawie z Jewką, to o granuli – ale nie mógł sobie dać rady, tak go śpik⁵¹ morzył...

Ptaszki ćwierkały w gałęziach, to czasem wiatr przegarnął leciuchnymi palcami po czubach drzew, że ino jaki taki listeczek, kieby motyl złoty, odrywał się od maci, spadał kolisto na drogę abo i na zakurzone osty, co zaognionymi oczami kwiatów hardo patrzyły w słońce – a topole zagwarzyły, poszemrały z cicha gałązkami i pomilkły kiej te kumy, co na Podniesienie oczy podniesą, ręce rozłożą i westchną modlitewnie, a padną wnetki w proch przed Majestatem, ukrytym w tej złotej monstrancji, zawisłej nad ziemią świętą, nad rodzoną...

Dopiero pod lasem przecknął na dobre i wstrzymał konia.

– Wschodzi niezgorzej – szepnął, przyjrząwszy się pod światło szarym zagonom, ordzawionym krótką szczotką wschodzącego żyta.

– Kawał pola, a przyległo do mojego, kieby kto z umysłu narządził! Żyto, widzi mi się, wczoraj posiały. – Ogarnął pożądlwym spojrzeniem zbronowane zagony, westchnął i wjechał w las.

⁵¹ śpik – senność. [przypis edytorski]

Poganiał często konia, bo droga szła po równym i twardsza była, tylko gęsto przerośnięta korzeniami, na których wóz podskakiwał i turkotał.

Ale już nie drzemał, owiany surowym i chłodnym dechem lasu.

Bór był ogromny, stary – stał zbitą gęstwą w majestacie wieku i siły, drzewo przy drzewie, sama sosna prawie, a często dąb rosochaty i siwy ze starości, a czasem brzozy w białych koszulach, z rozplecionymi warkoczami żółtymi, że to jesień już była. Podlejsze krze, jako leszczyna, to karłowata grabina, to osiczyna drżąca tuliły się do czerwonych, potężnych pni tak zwartych koronami i poplątanych gałęziami, że ino gdzieniegdzie przedzierało się słońce i pełzało niby złote pająki po mchach zielonych i paprociach zrudziałych.

– Zawszy mojego tu są cztery morgi! – myślał i pożerał oczami las, i już na oko wybierał co najlepszy. – Przeciech Pan Jezus nie da nas ukrzywdzić – abo i same się nie damy, nie... Dworowi widzi się dużo, a nam mało. Zarno... moje ze cztery, a Jagusine z morga... cztery i jedna... Wio! głupia, sroków się będzie bojała! – Trzepnął ją batem, bo na suszce, co dźwigała Bożą Mękę, kłóciły się sroki tak zajadle, aż źrebica strzygła uszami i przystawała.

– Srokowe wesele – deszczu będzie wiele. – Przypiął parę batów źrebicy i jechał kłusem.

Dobrze było już po ósmej, bo ludzie na polach siadali do śniadaniowych dwojaków, gdy wjeżdżał do Tymowa, na puste

uliczki, obstawione pozapadanymi domostwami, co przysiadły niby stare przekupki nad rynsztokami, pełnymi śmieci, kur, Źydział obdartych i nierogacizny.

Zaraz na wjeździe obstąpili go Żydzi i Żydówki i nuż zaglądać do wasągu, macać pod grochowinami, pod siedzeniem, czy nie wiezie czego na sprzedanie.

– Poszły, parchy! – mruknął, wjeżdżając na rynek, pod cień starych, poobdzieranych kasztanów, konających na środku placu, gdzie już stało kilkanaście wozów z wyprzęgniętymi końmi.

I swój wasąg tam umieścił, żrebicę wyłożył łbem do półkoszka, nasuł jej do kobiałki obroku, bat schował na dno, pod siedzenie, otrzepał się ze słomy i ruszył prosto do Mordki, tam gdzie błyszcząły trzy mosiężne talerze, aby się nieco przyogolić – wyszedł wkrótce czysto ostrugany i tylko z jednym zacięciem na brodzie, zalepionym papierem, przez który sączyła się krew.

Sądy nie były jeszcze zaczęte.

Ale przed domem sądowym, co stał zaraz w rynku, naprzeciw ogromnego poklasztornego kościoła, czekało już sporo narodu. Siedzieli na wydeptanych stopniach, to kupili się pod oknami i raz wraz zagląдали do środka, kobiety zaś przykucnęły pod bielonymi ścianami, opuściły czerwone zapaski z głów na ramiona i rajcowały.

Boryna, że dojrzał Jewkę z dzieckiem na ręku, stojącą w gromadzie swoich świadków, to się zeźlił zarno, jako że skory był do złości, splunął i wszedł do sieni drugiej, biegnącej na przestrzał sądowego domostwa.

Po lewej stronie był sąd, a po prawej mieszkał sekretarz, bo jakoż właśnie Jacek wyniósł samowar przed sam próg i tak go rozdmuchiwał cholewą zawzięcie, że dymił niby komin fabryczny, a co chwila ostry, gniewny głos krzyczał z głębi zadymionej sieni:

– Jacek! buciki panienkom!

– Zaraz, zaraz!

Samowar już niby wulkan huczał i buchał płomieniami.

– Jacek! wodę panu do mycia.

– Dyć zara, zrobi się wszystko, zrobi! – I spocony, nieprzytomny, ganiał po sieni, aż dudniło, powracał, dmuchał i znowu leciał, bo pani krzyczała:

– Jacek! kulfonie jeden, gdzie moje pończochy?!...

– Ale! ścierwa, nie samowar!

Trwało to wszystko dobrych parę pacierzy, abo i z koronkę, aż wreszcie drzwi sądowe się otwarły i naród począł napętniać dużą, wybieloną izbę.

Jacek, już teraz jako woźny, boso, w modrych portkach i takimże lejniku z mosiężnymi guzikami, z czerwoną, spoconą twarzą, którą raz wraz obcierał rękawem, uwijał się za czarnymi kratami, dzielącymi izbę na dwie połowy, i rzucał łbem niby koń, kiej go giez ukąsi, bo płowe włosy spadały mu grzywą na oczy, to zaglądał ostrożnie do sąsiedniej stancji i potem siadał na chwilę pod zielonym piecem.

A narodu się nawaliło, że ani palca wetknąć, i parli się coraz

krzepciej⁵² na kraty, aż trzeszczały; gwar zrazu cichy podnosił się z wolna, szemrał, przewalał po izbie, huczał czasami, przechodził miejscami w kłótnię, że jakie takie mocne słowo padało coraz gęściej.

Żydzi szwargotali pod oknami, a jakieś baby na głos opowiadały swoje krzywdy i jeszcze głośniej popłakiwały, ale nie można było rozeznaczyć, kto i gdzie, bo ciasnota była i głowa przy głowie, jako ten zagon pełen maków czerwonych i kłosów żytnich, co go to wiaterek żenie, a on się zakolebie i gwarzy, i szumi, a potem staje równo kłos przy kłosie. To znowu Jewka, dojrawszy Borynę wspartego o kraty, jęła dogadywać i wykrzykiwać na niego, że zeżłony odrzekł ostro:

– Zamilknij, suko, bo ci gnatki porachuję, że rodzona nie pozna.

A na to Jewka rozszrożona już pazury wyciągać i drzeć się do niego przez gęstwę ludzką, aż jej chustka spadła z głowy i dzieciak się rozkrzyczał, że nie wiada, na czym by się skończyło, gdy naraz Jacek się zerwał, otworzył drzwi i krzyknął:

– Cicho!ta, ścierwy, bo ano sąd idzie!...

Jakoż i sąd wszedł; najpierw gruby, wysoki dziedzic z Raciborowic, a za nim dwóch ławników i sekretarz, który usiadł przy bocznym stoliku pod oknem i rozkładał papiery a patrzył na sędziów, jak stanęli przy wielkim stole, okrytym czerwonym sukniem, i nałożyli złote łańcuchy na grube karki...

Cicho się zrobiło, że słyhać było tych, co na ulicy pod oknami

⁵² *coraz krzepciej* – coraz silniej (od: *krzepki* – silny). [przypis edytorski]

gwarzyli.

Dziedzic rozłożył papiery, chrząknął, spojrzął na sekretarza i grubym, donośnym głosem oznajmił, że sądy się rozpoczynają.

Potem sekretarz przeczytał sprawy na dzień dzisiejszy, coś szepnął pierwszemu ławnikowi, ten oddał to sędziemu, który kiwnął głową potakująco.

Sądy się rozpoczęły.

Pierwsza szła sprawa ze skargi strażnika na jakiegoś łyczka o nieporządku w podwórzu.

Skazany zaocznie.

Potem o pobicie chłopaka za wypasanie końmi koniczyny.

Pogodzili się – matka dostała pięć rubli, a chłopak nowe portki i lejbik.

Sprawa o woranie się⁵³.

Odłożona z braku dowodów.

Sprawa o kradzież leśną w borze sędziego; stawał rządca – oskarżeni chłopcy z Rokicin.

Skazani na kary pieniężne lub odsiedzenie w areszcie po dwa tygodnie.

Nie przyjęli wyroku, pójdą do apelacji.

I tak głośno zaczęli wykrzykiwać na niesprawiedliwość, bo las był wspólny, serwitutowy, aż sędzia skinął na Jacka, i ten zagrzmał:

– Cichojta, cichojta, bo tu sąd, nie karczma.

I tak szła sprawa za sprawą, kieby skiba za skibą, równo i dość

⁵³ woranie się – zaoranie kawałka cudzego pola. [przypis edytorski]

spokojnie, czasem tylko podnosiły się skargi albo chlipanie, albo i przekleństwo, ale te Jacek wnet przyciszał.

Z izby ubyłoby nieco ludzi, ale w ich miejsce przybyło tyle nowych, że stali zbici kieby w snop, że nikt nie poruszył się nie mógł i zrobił się taki gorący, iż ani odetchnąć, aż sędzia polecił otworzyć okna.

Teraz szła sprawa Bartka Kozia z Lipiec o kradzież świni u Marcjanny Antonówny Pacześ. Świadkowie: też Marcjanna, syn jej Szymon, Barbara Piesek itd.

– Świadkowie czy są? – zapytał ławnik.

– Jesteśmy! – zawołali chórem.

Boryna, który dotąd samotnie a cierpliwie stał przy kracie, przysunął się nieco do Paczesiowej przywitać, boć to była Dominikowa, matka Jagny.

– Oskarżony, Bartek Kozioł, bliżej, za kratę.

Niski chłop przepychał się ze środka tak gwałtownie, aż kłąć poczęli, że depcze po kulasach i przyodziewek ozdiera.

– Cichojsza, ścierwy, bo prześwietny sąd mówi! – krzyknął Jacek, wpuszczając go.

– Wy Bartłomiej Kozioł?

Chłop drapał się fraszobliwie po gęstych, równo obciętych włosach; głupowaty uśmiech skrzywił mu suchą, wygoloną twarz, a małe rudawe oczki chytrze skakały po sędziach niby wiewiórki.

– Wy Bartłomiej Kozioł? – zapytał znowu sędzia, bo chłop milczał.

– Dyc juści, on ci Bartłomiej Kozioł, dopraszam się łaski prześwietnego sądu! – piszczała ogromna kobieta, wpychając się siłą za kraty.

– A wy czego?

– Dopraszam się łaski, a dyc ja żona tego chudziaka, Bartka Kozła – i kłaniała się ręką do ziemi, aż wyrurkowanym czepcem zawadzała o stół sędziowski.

– Świadkujecie?

– Niby to za świadka? ni, jeno dopraszam się...

– Woźny, wyrzuć ją za kratę.

– Wychodźta, kobieto, bo nie la was tu miejsce... – Chwycił ją za ramiona i pchał zadem.

– Dopraszam się prześwietnego sądu, kiej mój ano nie dosłyszcy na ten przykład... – krzyczała.

– Wychodźta, póki po dobremu – i aż jęknęła, tak ją ciepnał na kratę, bo ani kroku po dobroci ustąpić nie chciała.

– Wyjdźcie, będziemy głośno mówili, to choć on Kozioł, a usłyszcy!

Zaczęło się wreszcie badanie.

– Jak się nazywacie?

– He?... a, przezywam?... Przeciech wołali mę, to niby wiedzieć wiedzą...

– Głupiś. Jak się nazywacie? – indagował nieubłagane sędzie.

– Bartek Kozioł, prześwietny sądzie – rzuciła żona.

– Ile lat?

– He?... a, lat?... bo ja to pomnę! Matka, wiele to ja mam

roków?...

– Pięćdziesiąt i dwa, widzi mi się, będzie na zwiesnę.

– Gospodarz?...

– I... trzy morgi piachu i ten jeden krowi ogon... sielny⁵⁴
gospodarz.

– Był już karany?

– He?... karany?...

– Czy siedzieliście w kozie?

– To niby w kreminalu?... karany?... Matka, byłem to w
kreminalu, he?...

– A byłeś, Bartku, byłeś, a to cię te ścierwy dworskie o to
zdechłe jagniątko...

– Juści, juści... na paśniku znalazłem zdechłe jagnię...
wzionem, co miały psy rozwłóczyć... poskarżyły, przysięgły,
com ukradł, sąd przysądził... wsadziły mę i siedziałem...
Niesprawiedliwość jest ino, niesprawiedliwość... – mówił
głucho i obzierał się nieznacznie na żonę.

– Oskarżeni jesteście o kradzież maciory Marcjannie Pacześ!
Wzięliście ją z pola, zagnali do domu, zarżnęli i zjedli! Co macie
na swoją obronę?...

– He? Zjadłem! Żeby tak Boga przy skonaniu nie oglądał,
że nie zjadłem... Moiściewy, zjadłem!... o świecie, świecie
rodzony, ja zjadłem! – wołał żałośnie.

– Cóż macie na swoją obronę?

– Obronę?... miałem to co rzec, matka?... Juści, baczę;

⁵⁴ *sielny* – silny, potężny, wielki; tu: ironicznie. [przypis edytorski]

niewinowatym, świni nie zjadłem, a Marcjanna Dominikowa, na ten przykład, szczeka bele co, kiej ten pies, że ino chycić za ten paskudny pysk a sprać... a...

– O ludzie, ludzie!... – jęknęła Dominikowa.

– To już sobie później zrobicie, a teraz mówcie, jakim sposobem świnia Paczesiowej znalazła się u was?...

– Świnia Paczesiowa... u mnie?... Matka, co to wielmożny dziedzic rzekli?...

– A dyć, Bartku, to o tym prosiaku, co to za tobą przylazł do chałupy...

– Baczę, juści, że baczę, bo prosiak to był, a nie świnia żadna; dopraszam się łaski wielmożnego sądu, niech słyszą, com ano rzekł, i przywtórzę; prosiak to był, a nie świnia; biały prosiak, a kiele ogona abo i zdziebko poniżej czarno łaciaty.

– Dobrze, ale skąd się wziął u was?

– Niby u mnie?... Zarno wszystko dokumentnie rzeknę, z czego się pokaże la prześwietnego sądu i la zgromadzonego narodu, co jestem niewinowaty, a Dominikowa cygan jest baba, pleciuch i ozornica zapowietrzona!

– Ja cyganię! A dyć tej Najświętszej Paniienki uproszę, żeby was pierun bez świętej spowiedzi nie trzasnął! – rzekła cicho, z westchnieniem ciężkim do obrazu Matki Boskiej, wiszącego w rogu izby, Dominikowa, a potem, że to już ścierpieć nie mogła, wyciągnęła zwiniętą, chudą pięść do niego i syknęła:

– Ty złodzieju świński! ty zbóju! ty!... – i rozczapierzyła palce, jakby go chycić chciała.

Ale Bankowa rzuciła się do niej z krzykiem.

– Co! biłabyś go, suko jedna, biłabyś, czarownico, kacie synowski, ty!

– Uciszyć się! – zawołał sędzia.

– Stulta pyski, kiej sąd mówi, bo waju wyciepnę na osobność.

– poparł Jacek, podciągając parcianki, bo mu się był obertelek⁵⁵ oberwał.

Uciszyło się zaraz, a baby, że to blisko było do chwycenia się za łby, stały już cicho, ino się oczami jadły a wzdychały ze złości...

– Mówcie, Bartłomiej, mówcie wszystko a prawdę.

– Prawdę?... Samą czystą kiej szkło prawdę rzeknę, rzetelnie powiem, kiej na spowiedzi, kiej gospodarz do gospodarzy, kiej swój do swojaków, bom gospodarz z dziada pradziada, a nie komornik, nie prefesjant jaki abo i jenszy miescki zdzier. To tak było.

– Patrz dobrze w głowę, byś czegój nie przepomniał – radziła.

– Nie przepomnę, Magduś, nie. To było tak. Szedłem se... a baczę, że to rychtyk zwiesna była... i za Wilczym Dołem, wedle Borynowej koniczyny... idę se i mówię pacierz, bo na ten przykład przedzwonili już na Anioł Pański... nocka też szła... idę se... jaż tu słyszę: głos nie głos?... Loboga, myślę se: chrząka albo i nie chrząka?... Oglądnałem za się – niczegój nie widno, cicho całkiem. Złe mę kusi czy co?... Ide dalej i że mę dziebko mrówki oblaży ze strachu, mówię se Pozdrowienie Anielskie.

⁵⁵ *obertelek* – drewniany kołeczek spełniający funkcję guzika. [przypis edytorski]

Chrząka znowu! Cie! myślę sobie, nic, jeno swynia to abo i zasie prosiak. Zlazłem zdziebko w bok, w koniczynę i obejrzałem się... juści, że cosik lizie za mną, przystanąłem ja – przystaństwo i to, a białne, niskie i długie... a ślepie świeciły się kiej u żbika abo zgoła u złego... Przechęgałem się, a że i skóra mi ścierpła, tom ruszył lepszym krokiem – jakże, abo to wiadomo, co się po nocach tłucze?... A wszyscy w Lipcach wiedzą, co na Wilczych Dołach straszy.

– Juści, że prawda, bo łoni, kiej Sikora przechodził tam nocą, to go ułapiło za grdykę i rzuciło o ziemię, i tak zbito, że chłop chorzał dwie niedziele – objaśniała żona.

– Cichoj, Magduś, cichoj! Idę, idę... idę... a to fort lezie za mną i chrząka! A że to był rychtyk miesiącek wylazł se na niebo, to patrę, a to ino prosiak, nie złe. Ozgniewałem się, bo co se ten głupi myśli – straszyć, tom rzucił nań patykiem i idę ku domowi. Szedłem se miedzą, między Michałowymi burakami a pszenicą Borynową, a potem między jarką Tomka a owsem tego Jaśka, co go łoni do wojska wzieni, a którego to kobieta akuratnie wczoraj zległa... Prosiak fort za mną kiej pies, to se idzie obok, to wlaź w kartofle Dominikowej i tu pysknie, i tam pysknie, i chrząknie, i kwiknie, a nie ostaje, ino za mną...

Skręciłem na ścieżkę, co bieży na przelaj – ona za mną. Gorąco mi się zrobiło, bo laboga, taka świnia, co może nie świnia! Skręciłem na drogę wedle figury, prosiak za mną... Widziałem, biały był, a kiele ogona, poniżej zdziebko, czarno łaciaty! Ja bez rów – ona za mną, ja na te mogliki, co za figurą

są – ona za mną, ja na kamionki, a ona kiej mi się nie rzuci pod kulasy – rymnąłem kiej długi. Opętana czy co?... Ledwie się pozbierał, a ona kiej nie zadrze ogona i w skok przede mną! A lećże se, zapowietrzona, pomyślałem. Ale nie uciekła, ino wciąż przede mną leciała – aż do samej chałupy – aż do samej chałupy, prześwietny sędzie, aż w ogrodzenie weszła, aż do sieni wlaźła, a że drzwi do izby były wywarte, to i do izby poszła... Tak mi Panie Boże dopomóż. Amen!

– A potem zarznąłście i zjedli, prawda? – rzekł sędzia rozbawiony.

– He! Zarznąli i zjedli?... A cośwa zrobić mieli? Przeszedł dzień – prosiak nie odchodzi; przeszedł tydzień – jest, ani jej wygonić, bo z kwikiem wraca!... Moja podtykała jej, co mogła, bo jakże głodem morzyć, Boże stworzenie też... Prześwietny sąd jest mądry, to sprawiedliwie se wymiarkuje, że com z nią biedny sierota miał zrobić? Niktoj po nią nie przychodził, a w domu bieda – a żarła, że i dwie drugie tyle nie zechlają... Jeszcze z miesiąc, to by nas zeżarła i z bebeczami... Co było radzić? Miała ona nas – tośwa my ją zjadły, a i to niecała, bo na wsi się zwiedziały, a Dominikowa poskarżyła, że to jej, przyszła ze sołtysem i zabrała wszystko...

– Wszystko?... a cały zad to gdzie?... – syknęła złowrogo Dominikowa.

– Gdzie? Spytajta się Kruczka i drugich piesków. Wynieśliśmy na noc do stodółki. Psy, że to czujne psie pary, a wrota były dziurawe, wyciągnęły i bal se sprawiły moją krwawicą, że

chodziły obzarte kiej te dziedzice.

– Hale, świnia sama poszła za nim, głupi uwierzy, ale nie sąd. Złodziej jucha, a barana młynarzowi, a gęsi dobrodziejowi to kto pokradł, co?...

– Widziałaś, co? Widziałaś! – wrzasnęła Kozłowa, przyskakując z pazurami.

– A kartofle z organistowego dołu to kto?... A cięgiem cosik komuś we wsi ginie, to gąska, to kury, to sprzęt jaki – ciągnęła nieubłaganie.

– Ty ścierwo! Coś ty robiła za młodu, a i co twoja Jagna teraz wyprawia z parobkami, to ci tego nikt nie wypomina, a ty kiej ten pies...

– Wara ci od Jagny! Wara, bo ci ten pysk tak spierę, że... Wara!... – ryknęła wielkim głosem, ugodzona jak w żywe mięso.

– Cicho! Jta, pyskacze, bo za drzwi wyciepnę! – uciszał Jacek, podciągając parcianek.

Zaczęło się przesłuchiwanie świadków.

Najpierw świadczyła poszkodowana, Dominikowa – a zeznawała cichym, nabożnym głosem i przysięgała co chwila przed tą Częstochowską, jako świnia jej, i żegnała się, i biła w piersi, że prawda jest, jako ją ukradł z pastwiska Kozioł, i nie żądała od prześwietnego sądu kary na niego, niech mu już tam Jezusiczek czyścica za to nie pożałuje – ale domagała się wielkim głosem sądu i kary za to, że tak spostonował ją i Jagnę wobec całego narodu.

Świadczył potem Szymek, syn Dominikowej; czapkę powiesił

na rękach złożonych jak do pacierza, oczów nie spuścił z sędziego i jęśliwym, nieprzytomnym głosem zeznawał, że świnia była matczyzna, że białna była cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała, a ucho rozerwane, bo ją był Łapa Borynowy chycił na zwieszę, a tak kwiczała, że chociaż w stodółce był – usłyszał...

Potem zawezwano Barbarę Piesek i innych.

Świadczyli po kolei i przysięgali, a Szymek wciąż stał z czapką na rękach, wpatrzony pobożnie w sędziego, a Kozłowa darła się za kratę z krzykiem zaprzeczeń i złorzeczeń, a Dominikowa ino wzdychała do obrazu, a poglądała na Kozła, który skakał oczami, nasłuchiwał, a obzierał się na swoją Magdusię.

Naród słuchał uważnie i raz wraz szmer, to uwagi złośliwe albo śmiech się rozległ głuchy pod powałą, aż Jacek musiał przyciszać groźbą.

Sprawa ciągnęła się długo, aż do przerwy, w której sąd poszedł do sąsiedniej izby na naradę, a naród wysypał się do sieni i przed dom odetchnąć nieco: kto pojeść zdziebko, kto ze swoimi świadkami się zmówić, kto wywodzić krzywdy swoje, a jenszy znowuj wyrzekać na niesprawiedliwość a pomstować, jak to zwyczajnie bywa na rokach.

Po przerwie i odczytaniu wyroków przyszła na stół sprawa Boryny.

Jewka stanęła przed sądem i pohuśtując dziecko, obwinęte w zapaskę, jęła płaczliwie wywodzić krzywdy swoje i żale; jako służyła u Boryny i pracowała, jaże jej kulasy ustawały, a nigdy dobrego słowa nie usłyszała, kąta nie miała na spanie ani jadła

dość, że się u sąsiadów pożywiać musiała, a potem zasług nie zapłacił i z jego własnym dzieckiem wygnał ją w cały świat... buchnęła w końcu ogromnym płaczem i rzuciła się na kolana przed sędziami z krzykiem:

– Krzywda to moja, krzywda! a dzieciak jego, prześwietny sędzie!

– Cygani jak ten pies – mruknął Boryna ze zgrozą.

– Ja cyganię?! A dyć wszystkie, a dyć całe Lipce wiedzą, że...

– Żeś suka i latawiec...

– Wielmożny sędzie, a przódzi to mi ino mówili: Jewka, Jewuś, i jeszcze słodziej, a to mi paciorki przywieźli, a to często gęsto bułkę z miasta i mówili: „Naści, Jewuś, naści, boś mi najmilejsza...” – a teraz, o mój Jezu, mój Jezu!... – poczęła ryczeć.

– Cygan, jucha, możem cię jeszcze pierzyną przyodział i mówił: „Śpij se, Jewuś, śpij!...”

Izba zatrzęsa się śmiechem.

– Abo nie, co? Abošta nie skamłali, jako ten pies przed drzwiami, abošta mało obiecowali, co?

– Loboga, ludzie, że to pierun nie zabije taką pokrakę? – zakrzyknął zdumiony.

– Wielmożny sędzie, cały świat wiedział, jak to było, całe Lipce mogą przyświadczyć, co prawdę mówię. Służyłam u nich, to mi ciągiem spokoju nie dawał. O biedna ja sierota, biedna! ... O dola moja nieszczęśliwa!... Abo tom się mogła obronić przed tylim chłopem?... Krzyczałam, to mę sprął i zrobił, co

chciał... A gdzie ja się podzieję z tym dziecięcym, gdzie? ... Świadki powiedzą i przyświadczą! – wołała wśród płaczu i krzyków.

Ale świadkowie w rzeczywistości nic nie zeznali prócz plotek i domysłów, więc znowu ją dowodzić i przekonywać, aż w końcu jako ostatni dowód rozpowiła dziecko i położyła je przed sędziami; dziecko wierzgało nagimi nóżkami i krzyczało wniebogłosy.

– Wielmożny sąd sam obaczy, czyje ono; o, ten ci sam nos kiej kartofel, te same bure ślepie i kaprawe... Kropla w kroplę nikt kiej szy, jeno Boryna!... – wołała.

Ale już i sąd nie mógł powstrzymać się od śmiechu, a naród aż huczał z uciechy, przyglądali się dziecku, to Borynie i raz wraz ktoś powiedział:

– To ci pannica, kiej ten pies odarty ze skóry!

– Boryna wdowiec, ożeniłby się z nią, a chłopak zdałby się do pasionki...

– Lenieje ci ona kiej krowa na zwiesnę.

– A urodna! jeno grochowinami przytrząść i w proso wsadzić – wszystkie gapy⁵⁶ uciekną...

– Już i tak psy uciekają, kiej Jewusia bez wieś idzie!...

– A gębusię ci ma kiej pomyjami wymalowaną...

– Bo gospodarna, raz w rok się myje, coby na mydło nie wydawać...

– Żydom w piecach pali, czasu nie ma, to i nie dziwota!

⁵⁶ *gapa* – wrona. [przypis edytorski]

Dogadywali coraz złośliwiej i okrutniej, a ona zmiłkła i nieprzytomnymi oczami psa zgonionego patrzyła po ludziach i ważyła coś w sobie...

– Cicho! To grzech tak się naśmiewać nad biedotą! – krzyknęła Dominikowa tak mocno, aż pomilkli, i jaki taki drapał się po łbie ze wstydu.

Sprawa skończyła się na niczym.

Boryna poczuł niezmierną ulgę, bo chociaż nie był winien, ale zawsze bojał się ludzkiego obmówiska, no i tego, że przysądzić mogą, by płacił – bo prawo juści jest ci takie, że nikiej nie wiada, kogo za łeb chyci, winowatego czy sprawiedliwego. Bywało już tak nie raz, nie dwa, nie dziesięć... bywało.

Wyszedł zaraz ze sądu i czekając na Dominikową, jął medytować i rozważać w sobie całą tę sprawę. Nie mógł zrozumieć, po co i dlaczego skarżyła.

– Ni, to nie jej rozum i głowa, to jenszy, ktoś drugi przez nią sięga, ale kto?...

Poszli z Dominikową i z Szymkiem do karczmy napić się i przegryźć coś niecoś, bo było już dobrze po południu, i chociaż mu Dominikowa napomykała z lekka, że cała ta Jewczyzna sprawa to musi być robota kowala, zięcia jego, nie mógł uwierzyć.

– Co by mu z tego przyszło?

– Tyla, żeby was pokłyźnić a podać na pośmiewisko i umartwienie. Drugi człowiek jest taki, że z jenszego la samej uciechy pasy by darł.

– Dziwno mi tej zawziętości Jewczynej! Bom nie ukrzywdził

w niczym, a jeszcze za chrzest tego jej bękartą dał dobrodziejowi worek owsa...

– Służy ona u młynarza, a ten w kompanii z kowalem chodzi... miarkujecie?!...

– Miarkuję, ino że nic rozeznąć nie mogę! Napijwa się jeszcze!

– Bóg zapłać, pijcie przódzi, Macieju!

Napili się raz i drugi, zjedli drugi funt kiełbasy z półbochenkiem chleba, stary kupił rząddek bułek dla Józi i zabierali się do powrotu.

– Siadajcie, Dominikowa, ze mną, ckno samemu, pogwarzym...

– A dobrze, ino skoczę jeszcze do klasztoru zmówić pacierz.

Poszła, ale w dobre dwa pacierze już była z powrotem, i zaraz pojechali.

Szymek włókł się za nimi wolno, bo w jedną szkapę i piachy były srogie, ale rozebrało go nieco, że to nie był zwyczajny picia i oszołomiony sądem, to się ino kiwał sennie w półkoszkach i raz wraz przecykając⁵⁷ zdzierał czapkę ze łba, żegnał się nabożnie i wpatrzony nieprzytomnie w ogon szkapy, jakoby w dziedzicową twarz na sądzie, mamrotał: „...Świnia matczyzna, białna cała, a ino kiele ogona czarną łatę miała...”

Słońce się już było przetaczało ku zachodowi, gdy wjechali w las.

Mało wiele pogadywali, choć siedzieli w podle siebie na

⁵⁷ *prcykać (się)* – budzić się z drzemki. [przypis edytorski]

przednim siedzeniu.

Czasem któreś zagadnęło jakimś słowem, że to nieobyczajnie siedzieć jak te mruki, ale ino tyła tego było, żeby śpik nie morzył i język nie zasechł...

Boryna poganiał żróbkę, bo wolniła, że to już do pół boków spotniała z umęczenia i gorąca, czasem pogwizdał a milczał, i coś żuł, coś ważył w sobie, coś kalkulował i często a niewidnie poglądał na starą, na jej suchą kieby z blichowanego wosku twarz, całą w podłużnych bruzdach zastygłą – poruszała bezzębnymi wargami, jakby się modliła po cichu; czasem pociągała czerwoną zapaskę barzej na czoło, bo słońce świeciło prosto w oczy, i siedziała nieruchomo, ino jej bure oczy gorzały.

– Wykopaliście ta już, co? – zagadnął wreszcie.

– A juści. Obrodziły latoś niezgorzej.

– Przychować będzie wama łącniej.

– Wsadziłam też wieprzka do karmika, bo w zapusty może się zdać...

– Pewnie, pewnie... mówiły, że Walek Rafałów przysyłał z wódką?...

– Nie on jeden, nie... ale po próznicy ino grosz tracą... nie la takich Jaguś moja, nie.

Podniosła głowę i jastrzębimi oczami wpiła się w niego, ale Boryna, że człek był w latach, nie wicher żaden, to twarz pokazał zimną i spokojną nie do rozeznania. Długo nie rzekli ni słowa, jakby się tą niemotą mocując ze sobą.

Borynie nijako było zaczynać pierwszemu, bo jakże, w latach

już był i gospodarz na całe Lipce pierwszy; no i mógł to zasię tak prosto rzec, co mu się Jaguś udała?... Honor przeciech swój miał i pomyślenie – ale że krwie gorącej był z przyrodzenia, to aż go złość porywała, że musi tak baczyć na siebie, tak kołować a zabiegać.

Dominikowa przezierała go coś niecoś i miarkowała zasię, co go tak markoci i rozbiera, ale ni słówkiem nie pomogła, ino raz wraz poglądała nań, to w ten świat i te dalekości niebieskie, aż i rzekła niechęcy:

– Gorąc ci taki, kieby we żniwa.

– Rzekliście.

Jakoż i tak było, bo drogę otaczały potężne ściany boru, że żaden wiater ni przewiew nijaki nie przedzierał się z pól, a słońce wisiało prosto nad głowami i tak dogrzewało, że rozprażone drzewa stały bez ruchu i omdlałe czuby pochylały nad drogą, i tylko raz wraz puszczały bursztynowe igliwo, co kołujący spływało na drogę. Grzybny zapach bajorów i liścia dębowego aż wiercił w nozdrzach.

– Wiecie, dziwno to mnie, a i drugim, że taki gospodarz, co to i pomyślenie nie bele jakie ma, i grontu tela, i posłuch u narodu – kiej wy na ten przykład, a do urzędu ambitu nie macie...

– Utrafiliście, że ambitu nijakiego nie mam. Co mi po tym? Sołtysem byłem bez trzy roki, tom dopłacił gotowym groszem. A com namarnował siebie i konisków! com się nakłyźnił i nabiegał, że i ten pies polowy nie więcej... A upadek w gospodarstwie był i marnacja, że jaże mi moja nie dała dobrego słowa...

– Miała i ona swój rozum. Urzędnikiem być zawždy to i honor jest, i profit.

– Bóg zapłać. Strażnikowi się kłaniaj, pisarza obłapiaj za nogi i bele ciaracha, co z urzędu – też... Wielgi mi honor! Nie płacą podatków, most się popsowa, wścieknie się pies, który weźmie kłonicą po łbie – kto winowaty?... Sołtys winowaty, do śtrafu sołtysa ciągnają! Hale, jest profit. Dosyć ja pisarzowi i do powiatu nanosił i kur, i jajków, i gąskę niektórą...

– Prawdę mówicie, ale Pietrkowi wójtostwo do grdyki nie wraca, nie; grontu już dokupił i stodółkę dostawił, i konie ma kiej te hamany!...

– Juści, ino nie wiada, co mu z tego ostanie, kiej się urząd skończy...

– Myślicie...

– Oczy swoje mam i miarkuję se zdziebko...

– Dufny ci on w siebie i z dobrodziejem⁵⁸ koty drze.

– A że mu się darzy, to ino bez kobietę; on se wójtuje, a ona w garści wszyćko dzierży.

Milczeli znowu z pacierz dobry.

– A wy to nie poślecie z wódką do której?... – zapytała ostrożnie.

– I... nie bierą mę już ciągotki do kobiet, za starym...

– Nie powiadajcie po próznicy! Ino ten stary, co się ruhać nie może, łyżki sam do gęby nie doniesie i na przypiecku se dochodzi... Widziałam, kiejście worek żyta nieśli.

⁵⁸ z *dobrodziejem* – tj. z księdzem. [przypis edytorski]

– Juści, żem w sobie krzepki jeszcze, ale która by ta poszła za mnie?...

– Którén nie probant, co wie? Obaczycie!

– Starym, dzieci dorastają... a pierwszej z brzegu nie wezmę...

– Zróbcie ino zapis, a i co najpierwsze się wama nie sprzeciwią...

– La zapisu! Kiej te świnie! Za tę morgę to i młódka najczystsza a pójdzie choćby za dziada spod kościoła...

– A chłopcy to za wianem nie patrzą, co?

Nie odrzekł już, jeno skropił batem żrebicę, że ruszyła z miejsca galopem.

Milczeli długo.

Dopiero gdy wyjechali z lasu na pola, między przydrożne topole, Boryna, który cały ten czas burzył się w sobie i przegryzał, wybuchnął:

– Na psy takie urządzenie we świecie! Za wszystko płąć, choćby i za to dobre słowo! Źle jest, że i gorzej być nie było. Już nawet dzieci na ojców nastają, posłuchu nie ma nijakiego, a wszystkie się żrą ze sobą kiej psy.

– Bo głupie, nie baczą, że wszystkich jednako ta święta ziemia pokryje.

– Leda jeden abo drugi od ziemi odrósł, a już do ojców z pyskiem, coby mu jego część dawali. Ze starszych się ino prześmiewają! Ścierwy, we wsi im ciasno, porządki stare im złe, ubieru nawet wstydzą się niektórzy!

– To wszystko bez to, że Boga się nie boją...

– Bez to i nie bez to, a źle jest.

– Nie idzie na lepsze, nie.

– Ma iść, kto ich ta zniewoli?

– Kara boska! Bo przyjdzie ta godzina sądu Panajezusowego,

przyjdzie.

– Ale co się przódzi narodu namarnuje, tego nikt nie odbierze.

– Czasy takie, że lepiej, coby mór przyszedł.

– Czasy! Juści, ale i ludzie są winne. A kowal to co? A wójt?

Z dobrodziejem się dra, ludzi buntują a tumania, a głupie wierzą.

– Ten kowal to moja trucizna, chociaż i zięć też...

I tak se już społecznie wyrzekali na ten świat, poglądając na wieś, co była już coraz bliżej widna, przez topole.

Pod smętarzem czerwienił się już z dala rząd kobiet pochylonych i zasnutych delikatną mgłą dymów, a wkrótce i głuchy, monotonny trzepot miądlic jał raz wraz dopływać z powiewem, co się był podnosił z nizinnych łąk.

– Dobry czas na miądlenie. Zlezę przy nich, bo jest tam i Jaguś moja.

– Nic mi z drogi, to was podwiezę...

– Dobrzyście, Macieju, że jaże mi dziwno... – uśmiechnęła się chytrze.

Skrecił z topolowej na polną dróżkę, co biegła do smętarnich wrótni, i podwiózł pod smętarz, gdzie pod kamiennym szarym płotem, w cieniu brzoź, klonów i tych krzyżów, co się z mogiłek pochylały ku polom, kilkanaście kobiet miądliło zawzięcie suchy

len, aż mgła pyłów wisiała nad nimi i długie włókna czepiały się żółtych listków brzoź i wisiały u czarnych ramion krzyżów; w podle, na prętach rozpiętych, nad dołami, w których paliły się ognie, przesuszano len mokrawy jeszcze.

Międlice ostro kłapały, aż cały rząd kobiet pochylał się ciągle w krótkich a prędkich drganiach, i tylko coraz któraś się prostowała, roztrzepywała przygarść lnu z ostatnich październicy, zwijała ją w kukłę albo w chochoła i rzucała na rozpostartą płachtę przed siebie.

Słońce, że się już było przetoczyło nad lasy, świeciło im prosto w twarze, ale nic to – robota, śmiechy, wesołe słowa nie ustawały ani na to oczymgnienie.

– Szczęść Boże na robotę! – zawołał Boryna do Jagny, która miądliła z kraja zarno; w koszuli była ino a w czerwonym wełniaku i w chustce na głowie od kurzu.

– Bóg zapłać! – odrzuciła wesoło i modre, ogromne oczy podniosła na niego, i uśmiech przeleciał przez jej urodną, opaloną twarz.

– Suchy, córuchno, co? – pytała stara, obmacując obmiądłone garście.

– Suchy kiej pieprz, jaże się łamie... – Znowu spojrziała na starego z uśmiechem, aż ciarki przeszły po nim, że świsnął batem i odjechał, ale raz wraz się obracał za nią, choć już widna nie była, bo mu jak żywa stała w oczach...

– Dzieucha kiej łania... W sam raz – rozmyślał.

IV

Była niedziela – cichy, opajęczony, przesłoneczniony dzień wrześniowy.

Na ściernisku, tuż za stodołami, paść się dzisiaj cały inwentarz Borynowy, a pod brogiem⁵⁹ wysokim i pękatym, okrążonym zieloną szczotką żyta, wykruszonego przy układaniu, leżał Kuba, dawał baczenie na inwentarz i uczył pacierza Witka – często pokrzykiwał na niego albo i zasie szturchał biczyskiem, bo chłopak mylił się i latał oczami po sadach.

– Bacz, coć rzekłem, bo to pacierz – upominał poważnie.

– Dyć baczę, Kuba, baczę.

– To czegój ślepiasz po sadach?

– Widzi mi się, co są jeszcze jabłka u Kłębów...

– Zjadłbyś! A sadziłeś je to, co? Powtórz „Wierzę”.

– Wyście też nie wywiedli kuropatwów, a wzieniście całe stado.

– Głupiś! Jabłka są Kłębowe, a ptaszki Panajezusowe, rozumiesz!

– Aleście je wzieni z dziedzicowego pola...

– I pole jest Panajezusowe. Hale, jaki mądrała, powtórz „Wierzę”.

Powtarzał prędko, bo go już kolana bolały od klęczenia, ale

⁵⁹ *bróg* – oparte na czterech słupach słomiane zadaszanie, pod którym składowano zboże przed młóceniem, a niekiedy również inne zbiory. [przypis edytorski]

nie ścierpiał...

– Widzi mi się, co żróbka idzie w Michałową koniczynę! – krzyknął gotowy do biegnięcia.

– Nie bój się o żróbkę, a patrz pacierza...

Kończył wreszcie, ale już nie mógł wytrzymać, przysiadł na piętach, wykręcał się na wszystkie strony, a zoczywszy bandę wróbli na śliwkach, śmignął w nie grudką ziemi i spiesznie bił się w piersi.

– A ochfiarowanie to zjadłeś kiej ułęgałkę, co?

Powiedział ochfiarowanie i z wielką ulgą wziął się do śpiącego Łapy i jął z nim baraszkować.

– Ale, gził się ciągiem będzie, kiej ten cielak głupi.

– Poniesiecie dobrodziejowi ptaszki?

– Poniesę...

– Spieklibym w polu.

– Spiecz se ziemniaków. Co mu się zachciewa!

– Idą już do kościoła! – zawołał Witek, spostrzegając przez płoty i drzewa migające czerwone zapaski na drodze.

Słońce przygrzewało niezgorzej, że wszystkie okna i drzwi chałup powywierano na przestrzał; gdzieś tam, pod przyzbami, myto się jeszcze, gdzie znowu czesano i zapletano warkocze, gdzie wytrzepywano świąteczne szmaty, zmięte całotygodniowym leżeniem w skrzyniach, gdzie już wychodzono na drogę, że raz wraz niby maki czerwone, niby georginie żółte, co dokwitały pod ścianami, libo te nagietki i nasturcje – tak szły kobiety strojne, szły dziewczyny, szli parobcy, szły dzieci, szli

gospodarze w białych kapotach, podobni do ogromnych żytnich snopów, a wszyscy dążyli wolno ku kościołowi drogami nad stawem, któren niby misa złota odbijał w sobie słońce, aż oczy raziło.

A dzwony wciąż biły radosnym głosem niedzieli, odpocznienia, modlitwy.

Kuba czekał, aż przedzwonią, ale że nie mógł się doczekać, schował pęk ptaków pod kapotę i rzekł:

– Witek, jak wydzwonią, spędź bydło do obór i przychodź do kościoła.

Ruszył, ile mógł, rychło, bo kulał srodze, dróżką biegnącą pod ogrodami, a tak zaślana żółtym liściem topoli, że szedł kieby po szafranowym kilimie.

Plebania stała na prost kościoła, przedzielona tylko odeń drogą, w głębi wielkiego ogrodu, pełnego jeszcze gruszek zielonych i jabłek rumianych.

Przed gankiem, obrośniętym w poczerwieniałe wino, Kuba się zatrzymał bezradnie, spozierając nieśmiało w okna i w sień, powywierane na oścież; a że wejść nie śmiał, cofnął się pod wielki klomb, pełen róż, lewkonii i astrów, od których bił słodki, upajający zapach; stado białych gołębi łażyło po zielonym, omszonym dachu i sfruwało na ganek.

Ksiądz chodził po ogrodzie z brewiarzem w ręku, ale raz wraz potrząsał gruszą, to jabłonką, że słychać było ciężkie pacanie owoców o ziemię, pozbierał je w połę sutanny i niósł do domu.

Kuba zastąpił mu drogę i pokornie podjął za kolana.

– Cóż to powiecie? Aha... Kuba Borynowy.

– Juści... dyć parę kuropatków dobrodziejowi przyniosłem.

– Bóg ci zapłać. Chodź za mną.

Kuba wszedł ino do sieni i ostał przy progu, bo nijak nie śmiał wejść na pokoje, poglądał tyła co przez drzwi otwarte na obrazy wiszące po ścianach i przeżegnał się pobożnie, i westchnął, a tak się czuł olśniony tymi ślicznościami, że ażę łzy miał w oczach i koniecznie chciało mu się zmówić pacierz, jeno że się bojał klęknąć na błyszczącej, śliskiej posadzce, żeby jej nie powalać.

Ale i ksiądz zaraz wyszedł z pokojów, dał mu złotówkę i rzekł:

– Bóg ci zapłać, Kuba, dobry z ciebie człowiek i pobożny, bo co niedziela chodzisz do kościoła.

Kuba podjął go za nogi, ale był tak ogłuszony radością, że ani wiedział, kiedy znalazł się na drodze...

– Cie, za te parę ptaszków, a tylachna pieniędzy! Dobrodziej kochany! – szeptał, przyglądając się pieniądzwowi. Nieraz ci on nosił dobrodziejowi różne ptaszki, to zajączka, to grzybków, ale nigdy jeszcze tyła nie dostał; co najwyżej to dziesiątkę abo i to dobre słowo... A dzisiaj!... Jezu mój kochany! Całą złotówkę, i na pokoje go wołał, i tyła dobrości mu powiedział... Jezus! Aże za grdykę go coś ułapiło i łzy same leciały mu z oczów, a w sercu poczuł taką gorącość, jakby mu kto zarzewia nasuł za pazuchę...

– Ino jeden ksiądz uszanuje człowieka, ino on jeden!... Niech ci Bóg da zdrowie i ta Panienska Częstochowska... Dobry z ciebie pan, dobry!... Boć cała wieś: i parobki, i gospodarze, i wszystkie, to ino go kulasem przezywali, a niezguła, a darmożjadem, a nikto

dobrego słowa nigdy nie dał, nikto nie pożałował – chyba ino te koniska abo i te pieski... a przecież rodowy był... gospodarski syn... nie znajda żaden... nie obieżyświat, a chrześcijan prawy, katolik...

Podnosił głowę coraz wyżej i coraz hardziej, prostował się, jak mógł, i z góry, wyzywająco prawie patrzył na świat, na ludzi wchodzących na smętarz i na te konie, co stały pod murem przy wozach; nadział czapę na skołtunioną głowę i wolno, godnie ruszył do kościoła, jak gospodarz jaki, zatykając ręce za pas i tak zamiatając krzywą nogą, że kurzawa za nim wstawiała.

Nie, nie ostał dzisiaj w kruchcie jak zawdy, jak przystało la niego, jeno się mocno jął przepychać przez ciżbę i parł prosto aż przed wielki ołtarz – aż tam, gdzie stawały same gospodarze, gdzie stał Boryna i wójt sam; kaj stawały te, co nosiły baldach nad dobrodziejem, abo i te, co ze świecami kiej kłonicie trzymali straż przy ołtarzu w czas Podniesienia.

Patrzyli na niego ze zdumieniem i zgrozą, a często gęsto usłyszał przykre słowo i odebrał takie spojrzenie, jako ten pies, któren się tam ciśnie, gdzie go nie wołają. Ale Kuba nic sobie z tego dzisiaj nie robił; ścisnął w garści pieniądz, a duszę miał pełną słodkości i dobroci, jakoby po spowiedzi się czuł abo zasie i lepiej.

Zaczęło się nabożeństwo.

Uklęknął przy samej kracie i śpiewał z innymi, zapatrzony pobożnie w ołtarz, gdzie u góry był Bóg Ociec, siwy Pan i srogi, rychtyk podobny do dziedzica z Drzazgowej Woli, a w

pośrodku sama Częstochowska w złocistym obleczeniu patrzyła na niego... a wszędy lśniła się pozłota, jarzyły się świece i stały bukiety papierowych czerwonych kwiatów... a ze ścian i z okien kolorowych wychylały się złote obręcze i święte, surowe twarze, i smugi złota, purpury, fioletu niby tęcza padały na jego twarz i głowę, całkiem jakby się unurzał w stawie przed zachodem, kiedy słońce bije w wodę. I poczuł się jakoby w niebie w tych ślicznościach, że ruchać się nie śmiał, ino klęczał wpatrzony w czarniawą, słodką, matczyną twarz Częstochowskiej, ino mówił pacierz za pacierzem spieczonymi wargami, a potem ino śpiewał tak żarliwie, tak ze wszystkich sił duszy wierzącej, tak sercem pełnym ekstazy, że jego zaschły, skrzypiący głos rozlegał się najdonośniej.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.